



okruchy
wiary

3



ciciwość
normalnego
życia

7



ordynat
Michorowski

11-12



fan-club

12

KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

39

(154)

KONTAKTY

25 IX 83

cena

10 zł



W inicjowanym właśnie cyklu pragniemy zaprezentować Czytelnikom osiągnięcia polskiego fotoreportażu. Zwróciliśmy się do czołowych fotografików prasowych o wybór z dotychczasowego dorobku zestawu najlepszych fotogramów lub jednego fotoreportażu.

PARADA FOTOREPORTERÓW

Ujrzenie zdjęcia, które fascynują ostrością widzenia, refleksem, ciekawym ujęciem, sprawnością warsztatową.

Jednym z pierwszych, którzy odpowiedzieli na naszą propozycję, jest Wacław Kapusto.

str. 5

KOCHAJ MNIE KOCHANIE

STR. 8-9



W NASTĘPNYM NUMERZE: świadectwo powszechnego działania, czyli „Juczne dni” ★ „Tu się kręci, czyli »Smażalnia stary«” ★ wokół zbrodni w Szablaku ★ raz inaczej — „Wrzód” ★ łomżyńska ★ próba ciśnienia ★ niezawodny horoskop na październik.

CZY ZAJMUJĄ SIĘ zakładowe organizacje partyjne? Odpowiadają sekretarze:

Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego: — Oceniliśmy realizację programów: oszczędnościowego i antyinflacyjnego w I półroczu br. Najbliższe Plenum KZ PZPR będzie poświęcone przygotowaniom do kampanii sprawozdawczo-wyborczej, a nawet Egzekutywy: ocena wpływów Partii w poszczególnych wydziałach zakładu.

Grajewska Filia Lubelskich Fabryk Wag: — Badamy, jak przebiega wdrażanie reformy gospodarczej w zakładzie (trudności, sposoby ich przewyższania). Przygotowujemy się do omówienia programu współpracy z zakładowym kołem ZSMP. Tematem najbliższej Egzekutywy będzie realizacja zakładowego programu oszczędnościowego. Na co dzień absorbują nas problemy poprawy warunków naszej załogi.

BZPO-W Zakład Przetwórstwa w Wysokim Mazowieckiem: — Na ostatnim zebraniu POP omówiliśmy realizację zadań gospodarczych w I półroczu br. (zatrudnienie, płace, wynik finansowy). Najbliższe spotkanie poświęcimy stosunkom między ludzkim w naszym zakładzie. Natomiast Egzekutywa zbierze uwagi do programu szkolenia partyjnego.

ZWIĄZKOWE KONSULTACJE. Na spotkaniu z prezydentem i I sekretarzem KM PZPR w Łomży przedstawiciele związków zawodowych największych zakładów pracy miasta obok drobnych spraw typu: niewystarczające zaopatrzenie w odzież ochronną i środki higieny, niewłaściwa jakość wędlin i pieczywa w sklepach, brud na przystankach autobusowych i w klatkach schodowych itp., mówili o wątpliwościach wynikających z niesprecyzowania w kodeksie pracy zakresu uprawnień związków w zakładzie, ich stosunków z dyrektorem, obszaru kompetencji przy decydowaniu o zwalnianiu pracownika.

JUŻ 35 ORGANIZACJI w naszym województwie, skupiających ponad 180 tysięcy członków, zgłosiło swój akces do Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Tymczasem trwają przygotowania do II Wojewódzkiego Zjazdu PRON. Wybrał już swoich delegatów Zambrowskie Zakłady, Łomża znać ich będzie po konferencji 30 bm.

ZBLIŻA SIĘ wojewódzki zjazd ZSL. Wyraźnym symptodem tego jest wzrastająca ilość spotkań delegatów ze swymi wyborcami w terenie. Trwa również dyskusja nad przyszłym statutem, deklaracją ideową i programem Stronnictwa, których projekty udestępnione zostały członkom ZSL.

PRACE POŁOWE W PEŁNI. Ziemiaki zebrano już w 25 proc. ogólnej powierzchni upraw. Na plan 160 tys. ton skupiono 70. Mimo dość przeciętnej wydajności (150–160 q z ha) ziemniaków w tym roku brakować nie powinno. Nie najgorzej (na poziomie roku ubiegłego) zapowiadają się też zbiory buraka cukrowego. Rozpoczęły się siewy zbóż ozimych. Do tej pory obsiano (głównie żytem) blisko 10 tys. ha pól. Na 450 ha wysiano rzepak ozimy, natomiast poplonami ozimymi zasiano około 700 ha. Trwa też wykonywanie orki przedzimowych. Na planowanych blisko 180 tys. ha zaorano dopiero 2 tys. ha.

„LENPOL” ostatecznie wycofał się z naszego województwa z uprawą lnu nasiennego. Oficjalnym powodem tej decyzji było „wyniszenie” części terenów uprawnych. Mimo że w tej chwili lnu nasiennego nie ma kto od rolników odbierać, obszar jego uprawy utrzymał się na dotychczasowym poziomie. Świadczyłoby to o tym, że przy korzystniejszych cenach skupu i prawidłowej obsłudze rolników ze strony „Lenpolu” likwidacja firmy byłaby zbędna.

ROZPOCZĘŁY SIĘ Jesienne Targi w Poznaniu. Łomżyńskie reprezentują na nich WPHW, WZSR i WSS. Pojechały tam z zadaniem zakontraktowania jak największej ilości odzieży, obuwia zimowego i letniego, tkanin, sprzętu gospodar-

stwa domowego, mebli. Obecność na Targach firm polonijnych i rzemieślników pozwala mieć nadzieję, że będziemy mogli kupić nieco więcej, niżby to wynikało z ilości przysługujących naszemu województwu wg rozdzelnika centralnego.

KOŃCZY SIĘ sezon zbioru ziół. W tym roku należy on do wyjątkowo udanych. Na planowanych 60, łomżyński „Herbapol” skupił już ponad 70 ton. Niektóre zioła, jak np. owoc bzu, wystąpiły w tak dużych ilościach (planowano 600 kg suszu, skupiono 5 ton), że trzeba było wstrzymać ich skup. Bardzo ciepłe lato nie sprzyjało jednak takim ziołom jak dziurawiec czy świetlik. Susza bowiem skróciła bardzo okres ich wegetacji. W tej chwili trwa jeszcze skup ziół korzeniowych jak mniszek, chrzan, żywokost czy korymb. Również w ich przypadku należy spodziewać się niezłych zbiorów. Dobrą zachętę stanowią tu bowiem ceny skupu, które w ostatnich 3–4 latach wzrosły blisko 10-krotnie.

PO TRZECH DNIACH zakończyła się II Ogólnopolska Spartakiada Sportów Obrońnych w Czerwonym Borze. W końcowej klasyfikacji najlepsze okazały się ekipy Szczecina, Opola i Kielc. Z naszego makroregionu w miarę dobrze spisali się reprezentanci Białegoostku i Suwałk (12 i 13 miejsc). Łomża uplasowała się, niestety, dopiero na 34 miejscu, wyraźnie odstając od swoich konkurentów, szczególnie w pojedynku strzeleckim i wieloboju obrońnym.

69 PRACOWNIKÓW Urzędu Miasta w Łomży otrzymało akty mianowania i złożyło uroczyste ślubowanie. Zabrakło wśród nich, niestety, tych, którzy nie spełnili wymogów, jakie stawia przed pracownikami administracji nowa ustawa sejmowa. Równocześnie z nominacjami nastąpiła regulacja plac. Prezydent zarabiał będzie teraz ponad 20 tysięcy złotych.

OCENIE REALIZACJI zadań za I półrocze poświęcona była ostatnia sesja Miejskiej Rady Narodowej w Łomży. Wśród wielu innych problemów poczesne miejsce zajmowała na niej sprawa tymczasowego zabezpieczenia stropów w szkole podstawowej nr 6, kolejnego posługu w budowie przedszkola nr 12, konieczności budowy żłobka na os. Jantar, złego stanu nawierzchni ulic.

WYJĄTKOWO „bezrobotna” jest ostatnio Pracownia Badań i Kontroli Środowiska. Od dłuższego już czasu nie zanotowała żadnych sygnałów mówiących o poważniejszych zatruciach wód. Istnieje jednak obawa, że alarmy zaczną się

po pierwszych obfitych opadach, kiedy to spłyną do naszych największych rzek wody „zastale” w rzekach-kanalach ściekowych.

KONIA Z RZĘDEM temu, kto wyliczy, ile powinny wynosić kary za zatrucie środowiska. Jak do tej pory jedynym przelicznikiem korygującym ich wysokość jest ogólny wzrost poziomu cen. Ponieważ ostatnio wszystko podrożało przeciętnie 3-krotnie, tyleż samo podskoczyły kary. Trudno liczyć na to, by przestraszył się ich którykolwiek z naszych „solidnych” podtruwaczy.

UPALNE, tegoroczne lato nie rozleniwilo krwiodawców. Przechodzi ich do Wojewódzkiego Punktu Krwiodawstwa przeciętnie tyle samo, co w każdym innym okresie roku. W sierpniu oddało krew ponad 200 osób, a więc nawet nieco więcej niż w pozostałych miesiącach.

ZOSTAŃ CZŁONKIEM Jazz Clubu powstającego przy Domu Srodowisk Twórczych. Przynależność do Clubu zapewni ci dużą dawkę dobrej muzyki „na żywo” i z płyt. Będiesz miał możliwość decydowania o koncertach jazzowych w DST, realizowania własnych propozycji, nabycia interesujących płyt, uzyskania abonentacji przez DST na imprezy Jazz Jamboree, Ziota Tarka itp. To wszystko za Twoją decyzją wstąpienia do Jazz Clubu. Zgłoszenia przyjmowane są w każdy czwartek od godz. 15.00 do 18.00 — DST, Łomża, ul. Wojska Polskiego 1, tel. 32-26.

gości w Łomży

Stefan Zawodziński, kierownik Wydziału Rolnego KC PZPR (wraz ze Zbigniewem Michałkiem, sekretarzem KC PZPR — pisaliśmy już o tym w poprzednim numerze); Marek Jurkiewicz, zastępca red. naczelnego „Trybuny Ludu”; Włodzimierz Pajdziński, zastępca sekretarza redakcji „Trybuny Ludu” i Halina Jabłońska, kierownik działu współpracy z zagranicą (w drodze do Ciechanowca odwiedzili naszą redakcję, obejrzeli Muzeum Niesamowitości i zapowiedzieli przesłanie „demonicznych” darów); Jerzy Jaskiernia, przewodniczący Zarządu Głównego ZSMP, mjr Tadeusz Rzepecki, przewodniczący Rady Młodzieżowej „Wojska Polskiego, wiceprzewodniczący Zarządu Głównego ZSMP, Jerzy Szmajdziński, sekretarz Zarządu Głównego ZSMP, Adam Izydorezyk, zastępca przewodniczącego GKKPiS, Lucjan Bryszewski, dyrektor departamentu w GKKPiS, płk Witold Tomeczuk, kierownik wydziału ZG LOK, płk Jan Próchniewski, przedstawiciel WOW (uczestniczyli w uroczystościach związanych z przebiegiem II Ogólnopolskiej Spartakiady Sportów Obrońnych w Czerwonym Borze).



HANDLOWI SPÓŁDZIELCZEMU Stawiskach wyrosła pod bokiem już druga konkurencyjna placówka WPHW — sklep obuwniczy. Napór klientów w dniu otwarcia (16 IX br.) był ogromny; zakup — jak się zorientowaliśmy — udane, a władze zadowolone, że realizują uchwałę Konferencji Komitetu Miejsko-Gminnego.

zdanie tygodnia

— Każdy widzi w życiu i ludziach to, co skłonny jest wyluskiwać. Bardzo łatwo pokazać goły tyłek i powiedzieć, że to jest wieś.

Zofia Solarzowa, działaczka ludowa

myśl z atestem

„Życie jest jak cebula: co pewien czas zdejmujesz zeń łupinę, a niekiedy przy tym płaczesz”.

C. Sandberg

punkt widzenia

Jak przebiega realizacja programu oszczędnościowego i antyinflacyjnego w zakładach?

EUGENIUSZ SKRZECZYŃSKI, główny ekonomista z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego w Łomży: — Rynek łomżyński jest rynkiem deficytowym, jeżeli chodzi o ręce do pracy. Dlatego też podstawą programu oszczędnościowego musi być przede wszystkim dbanie o prawidłowe wykorzystanie czasu pracy, głównie przez podnoszenie wydajności, gdyż uzbrojenie stanowisk pracy na razie nie ulegnie zmianie. Czy nam się to udaje? Chyba tak. Za 7 miesięcy tego roku osiągnęliśmy 6-procentowy wzrost wydajności (zakładany 5 proc.). Jak to było możliwe?

Wprowadziliśmy szczegółową kontrolę rozpoczęcia i zakończenia dnia pracy, system alternatywnego prowadzenia robót. Zobowiązaliśmy kierowników budów do sporządzenia kilku wariantów planu pracy na wypadek braku materiałów czy awarii urządzeń. Zmieniliśmy system zaopatrzenia budów. Trzy razy w miesiącu zbieramy kierowników i mistrzów i przydzielamy materiały na każdą dekadę oddzielnie. Przy brakach materiałowych tylko taki system zapewnia w miarę rytmiczną pracę. Klóci się on co prawda z programem oszczędności paliw (samochody 3-krotnie częściej muszą wyjeżdżać w teren), ale *summa summarum* i tak nam się to opłaca. Eliminujemy również zbędne opuszczenia pracy celem załatwienia spraw w administracji. Teraz pracownik z biura idzie na plac budowy, a nie odwrotnie. W miarę możliwości stramy się też nie przyjmować zleceń z rejonów zbyt oddległych od naszych baz. Rozszerzamy produkcję pomocniczą w naszej betoniarńi. W 50 proc. sami zaspokajamy nasze potrzeby na płytki, bloczki, krawężniki chodnikowe itp. Chcielibyśmy też przystosować betoniarńię do pracy w okresie zimy. Myślimy o coraz większym mechanizowaniu robót w przedsiębiorstwie. Przeszkoda nie jest tu, wbrew pozorom, brak sprzętu, ale opory ze strony starszych pracowników. Murarze-tylnkarze wolą np. tradycyjne, ręczne metody niż posługiwanie się agregatami do tynkowania. Podjęliśmy niedawno decyzję o zmianie systemu wynagradzania kierowców. Rezygnujemy z systemu czasowo-premiowego, który nie był motywacyjnym.

Wiele, najbardziej nawet słusznych założeń, rozbija się jednak o tzw. obiektywne trudności. Zakładamy maksymalnie ekonomiczne wykorzystanie taboru, tymczasem jest to po prostu niemożliwe wobec braku podstawowych części zamiennych. Chcielibyśmy koordynować przewozy, ale wobec trudności materiałowych puszczamy często samochody załadowane tylko w części. Mówimy o oszczędzaniu materiałów, a stosujemy, na przykład, druty i pręty o zbyt dużych przekrojach, bo mniejsze są po prostu nieosiągalne.

w eść gminne

MIASTKOWO. Pracownicy Urzędu Gminy złożyli ślubowanie i otrzymali akty nominacyjne. Przy tej okazji podwyższone zostały uposażenia, średnio o 2700 złotych. Podobne uroczystości odbyły się w ubiegłym tygodniu we wszystkich gminach.

Wykonany już jest tzw. stan surowy domu nauczyciela. Trwają pertraktacje, kto podejmie się prac wykończeniowych. Najlepiej, gdyby do swego „portfela” przyjęło je LPB. Jeżeli to nie nastąpi, bez obawy o pomyłkę można wróżyć przedłużenie budowy o dalsze 5 lat.

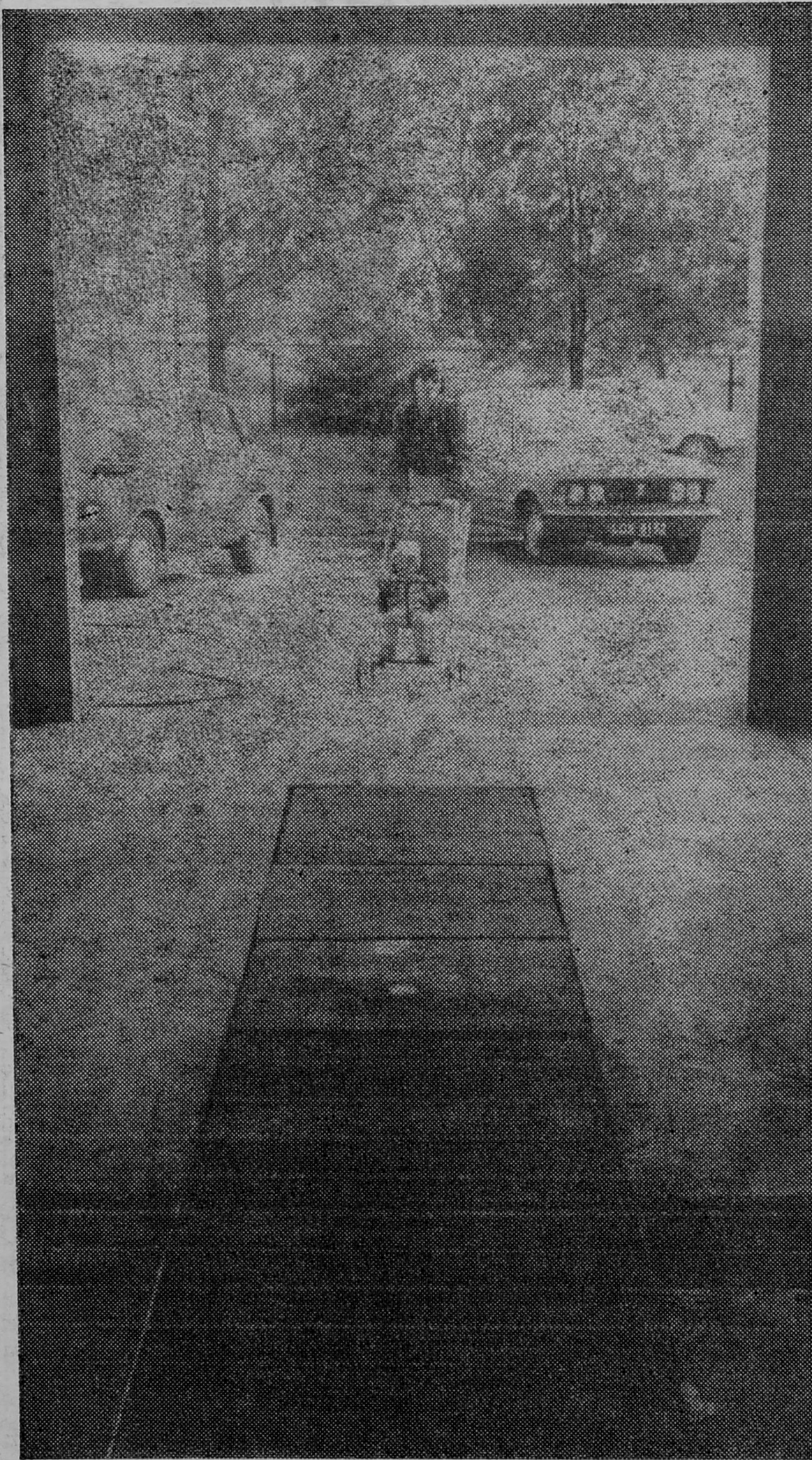
Mieszkanka Ostrołęki — po ośmiu latach przebywania u córki — przypomniała sobie, że posiada jeszcze schorowanego męża w Rydzewie. Kiedy stan zdrowia małżonka pogorszył się, zażądała od niego przeniesienia własności budynków, które pozostały po przekazaniu gospodarstwa — wnucze. Zdecydowała się też: roztoczyć troskliwą opieką nad małżonkiem pod warunkiem, że Urząd Gminy wystawi bilet miesięczny z Ostrołęki do Rydzewa i z powrotem.

TUROŚL. Pracownicy ośrodka zdrowia rozpoczęli rutynowe badania dzieci szkolnych. We wrześniu

CIĄG DALSZY NA STR. 15



BOHDAN CZESZKO OKRUCCHIY WIARY



Dylemat nadziei i zwątpienia szczególnie ostro rysuje się w naszym społeczeństwie właśnie teraz, w dobie kryzysu targającego krajem. Jest on zauważalny na każdym kroku; widać go w życiu politycznym, na spotkaniach przywódców partii i rządu z członkami związków zawodowych, podczas kontaktów polityków z zakładami pracy.

Najświeższy przykład to — wizyta Mieczysława Rakowskiego w stoczni gdańskiej. Spektakl — jaki się tam odbywał — był manifestacją upartej nienawiści i negacji, niechęci do nawiązywania jakiegokolwiek dialogu, manifestacją niechęci do przyjmowania jakiejkolwiek racjonalnej argumentacji. Z czego to wynika? Właśnie ze zwątpienia w słuszność celowości czy też sensowność poczynań władzy, bo głosów nadziei w stoczni słyszeć się nie dało. Zanim odpowie się na pytanie, czy obraz przekazany przez telewizję jest zgodny z rzeczywistością naszego kraju, trzeba stwierdzić, że sceptycy mają wiele argumentów po temu, aby wątpić.

Rozpoczęta w warunkach absolutnego kryzysu gospodarczego reforma rodzi się w bólach, z oporami. Zwykły zjadacz chleba jej rezultaty obserwuje jako lawinowy wzrost cen na wszelkie artykuły, rosnące wydatki mimo utrzymywania przez państwo cen podstawowych artykułów żywnościowych na poziomie niskim. Ale zabieg to czasowy i ciągle trwać nie będzie, ponieważ ceny te też muszą ulec podwyżce. Nazywa się to u nas ruchem cen, co samo w sobie jest enigmatyczne; ceny nie mają bowiem tendencji spadkowej, ale z zasady rosną. I jeśli ludzie słyszą zapowiedzi podwyżek, trudno się im dziwić, że martwi ich dzień jutrzejszy egzystencji, jej kształt i forma.

Przypomnijmy zatem jedną ważną i zasadniczą konstatację dotyczącą nie tylko ostatnich lat, ale całej gospodarczej i społecznej historii powojennej Polski. Jeśli więc na te kilkadziesiąt lat historii spojrzemy oczami człowieka dorosłego i dojrzałego, zauważymy, że okresy względnej stabilizacji życia — gdy ludzie wiedzieli z czego i jak żyją, na co mogą sobie w danej chwili pozwolić i co ich czeka w najbliższym czasie (co nazywano małą stabilizacją) — były bardzo krótkie i przedzielone latami niepewności, wstrząsami społeczno-politycznymi, z których kraj się jakoś potem wygrzebywał. Ta konstatacja wydaje się prawdziwa, a nastroje zrozumiałe. Po tak głębokim kryzysie społeczno-politycznym i gospodarczym jednocześnie, o skali nie notowanej u nas w latach powojennych; okresie wstrząsów, rozdarcia i niepewności, jaki było dane nam przeżyć (i nadal to przeżywamy), ludzie są ostrożni w konstruowaniu swoich nadziei, przewidywań, stawianiu prognoz nacechowanych pewnością, wiarą.

Obserwacje potwierdzają oficjalne statystyki stanu gospodarki ostatnich dwóch — trzech lat. Co prawda widać już elementy stabilizowania się gospodarki na znośnym poziomie, wystarczą jednak porównać stan obecny do tego z lat 1980—81, kiedy w sklepach nie było nic poza przysłowiowym octem, który zresztą też szybko zniknął z półek, przypomnijmy, że nie było papierosów i innych najprymitywniejszych produktów, bez których trudno się człowiekowi obyć. Jest nieco lepiej, niemniej braki życia codziennego są nadal dokuczliwe i ta stabilizacja, która w skali całego kraju jest niewątpliwym faktem, przez obywateli jest odczuwana w sposób minimalny — pomimo opanowania sytuacji w zakresie podstawowego zaopatrzenia.

Skoro mówi się o owej stabilizacji, trzeba przywołać jeszcze jedno ważne spostrzeżenie. Otóż ludzie zadają sobie proste pytanie, na które jednak trudno odpowiedzieć: na jakim poziomie widzą tę stabilizację kierownicy naszej gospodarki państwowej?

Oczywiście, dorośli obywatele naszego kraju pamiętają lata, nie wnikając skąd się to brało (a brało się z naszych zadłużeń), gdy poziom życia w Polsce kształtował się tak, jak w innych niezbyt bogatych krajach europejskich. Gwałtowny spadek poziomu życia i niemożność powrotu w niedalekiej przyszłości do tego — w końcu nie za wysokiego — pułapu egzystencji, jaki już istniał po wojnie, stwarza poczu-

cie mniejszej wartości, niespełnienia. Przecież już trzecie pokolenie Polaków zaczyna w Polsce Ludowej pracować. Kraj podźwignięto z gruzów, został rozbudowany przemysł, wydobywa się cenne zasoby ziemi — kopaliny, a to wszystko

nie spełnia owych oczekiwań, dotyczących poziomu egzystencji. Właśnie z takich konstatacji wychodząc, zjadacz chleba w Polsce, gdy waży swoje nadzieje i rozgoryczenia, nie żywi nastrojów optymistycznych. I dziwić się temu nie należy. Dołączając do tego jeszcze niepewności natury ogólnej: wzrost napięcia międzynarodowego, urealnienie groźby wojny nuklearnej przez administrację amerykańską, czy też uzbrajanie Niemiec w broń atomową, to trudno mówić o dobrym samopoczuciu Polaków.

Czy istnieje więc dylemat? Oczywiście. Przy należytych wykorzystaniu pracy ludzkiej, bo dobra praca istnieje, ale chodzi o niemarnotrawienie jej efektów wskutek złej organizacji, na co na całym świecie nikt nie może sobie pozwolić, przy możliwym zmodernizowaniu naszych mocy produkcyjnych, co jest w naszej sytuacji nieuniknione, i przy zachowaniu spokoju społecznego, budzi się przekonanie, że w tym naszym nieśczęśliwym kraju może być lepiej.

Przykład, na szczęście, istnieje. We wspólnocie krajów socjalistycznych są nim Węgry. Kraj, który z potwornego dna, krwawego konfliktu społecznego, z gospodarczego upadku w ciągu krótkiego czasu (jeśli liczyć w skali historycznej, bo tylko w ciągu lat dziesięciu) wydzwignął się na wysoki poziom w każdej niemal dziedzinie. Ale jest to kraj dobrze rządzony, gospodarczo silny; toteż stosunkowo dobrze się tam ludziom żyje, bo nigdzie na tym nieśczęśliwym świecie dobrze nie jest. Człowiek — gdy chodzi po węgierskiej ulicy, zagląda do tamtejszych sklepów, je w tamtejszych restauracjach — zauważa, że nie dzieją się tam żadne cuda ani nadzwyczajności. A więc nie ma żadnych — danych nam w sposób kategoryczny — immanentnych przeszkód, abyśmy nie osiągnęli takiego poziomu jak nasi węgierscy bratankowie. Istnieje więc nadzieja!

Zatem celowe i sensowne jest mówienie o sprawach najprostszych, o problemach życia codziennego, o codziennym stanie naszej duszy, ponieważ używanie dziś słów wielkich i odwoływanie się do godności narodowej, poczucia obowiązku, patriotyzmu itd., do tych odświeżających hasel na tle sytuacji, w której znaleźliśmy się jako obywatele i najnormalniejsi przecież ludzie, brzmi na wyrost, fałszywie. Ludzie już takich słów nie aprobują, bo są one trudnosłyszalne, traktuje się je jako drętą mowę w odróżnieniu od realnych działań, które podtrzymują kołującą się jeszcze nadzieję.

Celowe i sensowne jest również mówienie o nadziei. Bez niej nasze życie byłoby niemożliwe, bo nie można żyć nie mając wiary w to, że życie będzie lepsze, sensowniejsze, sprawiedliwsze, bardziej rozumne. Nie można też egzystować w stanie absurdu, totalnej negacji. Wszak aż na wrotach piekła Dante umieścił napis: „Utraćcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie”. Nie ma więc egzystencji ludzkiej bez nadziei. Czasami są to niewielkie, nikielne satysfakcje, drobne drgnięcia ku lepszemu, dobrze przeżyty dzień, gdyż coś wyszło lepiej. To wszystko podbudowuje nadzieję dnia codziennego, jaki przeżywamy wszyscy bez wielkich, odświeżających słów.

Tak chyba w umysłach Polaków rysuje się ów dylemat pomiędzy zwątpieniem a nadzieją. W tych rozważaniach więcej, oczywiście, zwątpień niż nadziei, ale przekonaliśmy się na własnej skórze, że budowanie wielkich nadziei, a następnie spowodowanie ich krachu, jest o wiele większym złem niż mówienie ludziom gorzkiej i często trudnej do przyjęcia prawdy. Szczerze mówienie, że jeszcze długo trzeba będzie zaciskać ten przysłowiowy pas, trudno jest zaakceptować, niechętnie się z tym godzimy, ale lepsze to, niż demagogiczne, bezsensowne kreślenie bez realnych podstaw wizji świetlanej przyszłości, która tuż, tuż za progiem dnia jutrzejszego nas oczekuje. Takich cudów nie było i nie ma, nikt w to dziś nie uwierzy.

Jest w tym kraju niedostatek, jest jeszcze źle, ale fakt osiągnięcia jakiejś takiej stabilizacji społecznej i minimalnego poziomu egzystencji ekonomicznej, jaki w tej chwili istnieje, jest lada jaka, ale już nadzieją na przyszłość.

Fot. GABOR LÖRINCZY

Polski dylemat: nadzieje i zwątpienia



— Jakiego pytania nie powinienem Panu zadać?

— Chyba: jak długo pracuję w „Gazecie”? Wstyd się przyznać, że to już tyle lat.

— O co zapytałby czytelnicy Pańskiej gazety, a o co dysponenci polityczni?

— Często pytają, dlaczego napisałem o tym, a nie o tamtym. Wszak każdy chciałby widzieć swoją „działkę” na łamach. Pragnienie zupełnie naturalne. Zaś dysponentów, przypuszczam, interesowałoby moje samopoczucie na tym stanowisku. Wymaga bowiem nie lada kondycji fizycznej i umysłowej. Młody nie jestem, a bagaż obowiązków ogromny.

— Zechciałby Pan ocenić „GW” na tle innych regionalnych dzienników?

— Nie silę się na to. Wszystkie posiadają swoje walory, mają też i niedomogi. Każdy przywiązany jest do tego, co robi, i uważa, że czyni to dobrze. Taką hierarchizację uznaję za chybione przedsięwzięcie.

— Co, Pana zdaniem, najbardziej cenią w „Gazecie Współczesnej” czytelnicy?

— Z pewnością daje im satysfakcję fakt możliwości odnalezienia na łamach odzewu na swoje listy. Poświęcamy temu raz w tygodniu całą kolumnę, a spotykam się z licznymi głosami, by przyznać jeszcze więcej miejsca. Myślmy o tym, gdyż jest to jedna z najbardziej czytanych stron.

— Czy jest Pan zupełnie zadowolony ze swej gazety, czy też coś chciałby Pan zmienić?

— Uważam, że jest redagowana na dość wysokim poziomie. Byłbym jednak zadowolony, gdyby nie było błędów, które się pojawiają. Te językowe i korektorskie. Drażni, zdarzająca się niekiedy niesolidność: niesprawdzenie informacji, brak wszechstronności w doborze materiału. Powoduje to niepotrzebne nieporozumienia, konieczność wracania do tematu. Staramy się tego unikać, eliminować takie przypadki.

— Jaka pochwała najbardziej cieszy, a czyja przygana włącza dzwonek alarmowy?

— Najwdzięczniejsze są głosy czytelników w związku z udaną interwencją, ich akceptacją dla sposobu przedstawienia nieraz trudnych, a drażliwych spraw. Natomiast dzwonkiem alarmowym dla każdego, jak sądzę, dziennikarza jest wewnętrzne przeświadczenie o niedoskonałości własnej pracy. I nie jako fakt jednorazowy, a taki ciągle powtarzający się sygnał. Samozadowolenie prowadzi wprost do wykoślawień natury psychologicznej.

— Jest Pan współtwórcą tej gazety. Który z okresów uznaje Pan za najlepszy, a który za najgorszy?

— „GW” rosła, że tak powiem, wraz z czytelnikami. Razem z nimi zmieniała się. Aby zaspokoić stale rozwijającą się świadomość czytelników, trzeba gazetę wciąż doskonalić. A dystans czasu i doświadczeń najlepiej weryfikuje błędy i doraźne sukcesy.

— Którą z dotychczas podejmowanych akcji publicystycznych uważa Pan za najciekawszą? Jakże są jej trwałe ślady poza publikacją na łamach?

— Bez wątplenia „Konflikt współczesny”. Napłynęła ogromna ilość interesujących prac. Konkurs ten przeprowadzony był za czasów mojego poprzednika, red. Jana Sochy. toteż nie wiem, jak przebiega przyoblekanie jego plonu w kształt książki. Dotychczas się nie ukazała.

— Co uznalby Pan za swój największy — jako redaktora naczelnego — sukces?

— Konsolidację zespołu. Jest on mieszaniną młodości i rutyny (bardzo nieliczne jest u nas średnie pokolenie), a już stanowi zwarta całość. Wielu „przyjaciół” prorokowało nam krach w związku z odejściem sporej grupy dziennikarzy. Tak się jednak nie stało i w ogóle nam nie grozi, a proroctwa okazały się jedynie drobnymi złośliwościami.

— A największy błąd w dotychczasowej pracy?

— Zarzucenie pióra. Jest on konsolidacją zespołu. Jest on mieszaniną młodości i rutyny (bardzo nieliczne jest u nas średnie pokolenie), a już stanowi zwarta całość. Wielu „przyjaciół” prorokowało nam krach w związku z odejściem sporej grupy dziennikarzy. Tak się jednak nie stało i w ogóle nam nie grozi, a proroctwa okazały się jedynie drobnymi złośliwościami.

— A największy błąd w dotychczasowej pracy?

Idealu nigdy się nie osiąga. Czy „GW” jest bliżej czy dalej? Sądzę, że bliżej.

— Co rokuje nowa zmiana warty w zespole redakcyjnym?

— Młodzi, którzy do nas przyszli, to entuzjaści. W tym zawodzie bez pasji nie się nie działa. A że mają się od kogo uczyć, więc bez większych obaw mogą patrzeć w przyszłość.

— Jaki w takim razie jest system pracy z młodymi dziennikarzami?

— Ten obowiązek spoczywa prze-

Gazeta Współczesna

O redaktorskich problemach, modelu gazety, czytelniczych oczekiwaniach i osobistych pasjach — z Mieczysławem Chają, redaktorem naczelnym „Gazety Współczesnej” (w przeddzień wydania 10-tyśięcznego numeru) — rozmawia Stefan Ostrowski.

de wszystkim na kierownikach działów, a chcę podkreślić, że mamy bardzo dobrych. To oni na co dzień dyskutują, o czym warto pisać, podpowiadają, jak „ugryźć” dany temat, przypominają o rzetelności zawodowej (wszak krzywdę łatwiej wyrządzić niż ją potem naprawić), pracują nad tekstem. Także moi zastępcy, a i sam również, sporo uwagi im poświęcamy, chcemy przekonać młodych, że są pełnoprawnymi członkami zespołu. W wypadku ewidentnej „fuzerki” sięgamy i po środki dyscyplinujące, choćby upomnienia, ale raczej perswazją staramy się zachęcić do rozwijania umiejętności warsztatowych.

— Mając do wyboru dziennikarza zdolnego albo dyspozycyjnego, na którego się Pan zdecyduje?

— Obie cechy równie cenię. Przy czym dyspozycyjność, według mnie, nie sprowadza się do posłuszeństwa. Rozumiem ją jako uświadomienie specyfiki zawodu. Mimo największego talentu nie sposób pracować tylko od 8.00 do 15.00.

— Talenty w zespole?

— Mamy ich mnóstwo. Cieszę się bardzo z przyjścia takich dziennikarzy jak Roman Baka, Zbigniew Łupiński, Dariusz Klimaszewski, Alicja Zielińska, Hanna Przygoda. A są przecież w zespole tak znane „pióra”, jak Helena Pilipiuk-Vankowa, Anna Zarembina, Ryszard Klimaszewski, Stanisław Świerad, Marian Wiśniewski, Jerzy Brodziuk, Zofia Jadczyk, Aniela Łabanow, Irena Biernacka.

— Jak duże grono współpracowników wspiera na co dzień redakcję?

— Podstawową grupę stanowią liczni korespondenci, którzy zasilają zasób publikowanej informacji. Częstym gościem na łamach jest doc. Włodzisław Sanocki, który pisuje także do „Przeglądu Tygodniowego”. Jako współpracowników traktujemy także czytelników. Wielu z nich prowadzi z nami stałą korespondencję.

— Który z działów terenowych „GW” ocenia Pan jako prężniejszy, sprawniejszy?

— Na pozytywną ocenę zasługują oba, choć wyróżnić muszę łomżyński. Szczególnie moje uznanie wzbudza praca red. Wawrzyńca Kłosińskiego. Jest niepospolicie operatywny i sprawny tak w gromadzeniu materiałów, jak i ich „sprzedawaniu” czytelnikom. Myślę, że po przezwyciężeniu pewnych obiektywnych trudności suwalski oddział również będzie stał na wysokości.

— Czym by Pan tłumaczył wobec tego fakt, że „Gazetę” gorzej sprzedaje się w Łomży niż w mniejszym Elku?

— Nie jest to sprawa dnia dzisiejszego i nie tylko nasza, zdaje się, bolączka. Niegdyś powiat kolneński zajmował ostatnie miejsce w czytelnictwie prasy w kraju. Ostatnio coś w tym względzie drgnęło, oczywiście chciałbym, aby był to znaczniejszy wzrost, lecz województwo, co by nie mówić, jest mało rozczytane.

— Od czerwca tego roku ukazuje się „Kurier Podlaski”. Jak Pan ocenia konkurencję i jej wpływ na jakość „GW”?

— Muszę przyznać, że popołudniówka miała bardzo udany debiut na rynku i szturmem zdobyła sobie czytelnika. Warto byłoby chyba „dociążyć” ją nieco proble-



NIE INTERESUJE MNIE ZWIERZYNĄ GRUBA

matyką społeczną, gospodarczą, także polityczną, już na to czas. Sam fakt istnienia „Kuriera” mobilizuje nas do dbałości o atrakcyjność, wzmagania aktywności, nie możemy sobie pozwolić na odkładanie tematów. Korzysta na tym czytelnik.

— „Reporter na zamówienie” to cenne novum. Ale czy gazeta powinna zajmować się każdą dziurą w płocie?

— Intencją tej rubryki było wywołanie zbiorowego myślenia czytelników o sprawach społecznych. Ilość telefonów, frekwencja podczas dyżurów świadczy o tym, że się nam powiodło. Dziura w płocie okazała się dobrym tematem do rozpoczęcia dialogu. Zgadza się, jest to margines, choć sygnalizuje obok iluż spraw przechodzą obojętnie odpowiedzialni za nie ludzie. Można dostrzec, że oscylujemy już ku określonym tematom (zabezpieczenie przeciwpożarowe, sytuacja w oświacie), poszczególne dyżury mają swój problem wiodący. Nie od razu Kraków zbudowano.

— „Gazeta” opiera się wielokrotnie na materiałach agencyjnych. Walor czy mankament?

— Nie wyobrażam sobie dziennika bez agencji. Dostarczają one wszak najświeższego serwisu z kraju i ze świata, a redakcji nie stać na korespondentów. W wydawanych przez agencje biuletynach można znaleźć wiele ciekawostek, niezłej publicystyki.

— Uważny czytelnik dostrzeże, że

„GW” czasami nie sygnuje materiałów agencyjnych (KAR, Omnipress). Czy to oznaka wstydu?

— Krajowa Agencja Robotnicza nie wymaga od nas sygnowania wszystkich materiałów. Niektóre więc mają w podpisie nazwisko autora. Zaś pod materiałami Omnipressu zawsze widnieje skrót: (Om).

— Swego czasu „Gazeta Współczesna” miała niezły reportaż. Na ile obecny jego brak jest wyborem, a ile w tym konieczności?

— Nigdy nie byłem zwolennikiem tej formy na łamach dziennika. Jeśli już: to relacja, komentarz. Próby takie podejmowane są i dziś, głównie z myślą o magazynie, ale bez zaniedbywania innych, istotniejszych obowiązków. Stworzona niegdyś specjalizacja nie wpływała dobrze na atmosferę w zespole.

— Podstawową funkcją gazety jest informacja. Jak może być ona spełniona przy użyciu tak urzędowego, martwego języka?

— Nie jest on, rzeczywiście, taki, jak bym chciał, oczekiwał. Występuje tu pewne sprzeczanie. Dziennikarze tkwią w społeczeństwie i po prostu nasiłają językowymi protezami, później, niestety, je utrwalają. Pracujemy nad tym, wystarczy porównać depeszę agencyjną z materiałami własnymi. Jest różnica.

— Czym tłumaczył brak problematyki kulturalnej w „Gazecie”?

— Trudnościami kadrowymi. Lecz mamy pewne koncepcje, toteż w najbliższym czasie można spodziewać się rozwiązania tej kwestii. A przecież staramy się recenzować przedstawienia teatralne, filmy, książki.

— Dlaczego jest tak niska obecność środowisk intelektualnych miasta na łamach?

— Borykali się z tym wszyscy, moi poprzednicy. Niestety ich apele, propozycje pozostawały bez echa. Ofertę podtrzymujemy i obecnie. Ba, a ileż starań podejmowaliśmy, aby wykrzesać cokolwiek ze środowiska studenckiego. Bez efektu. Niechcąc, czy brak możliwości?

— Który z tytułów, firmowanych przez Białostockie Wydawnictwo Prasowe, czyta Pan najchętniej?

— „Krajobrazy”. Bo są redagowane dla czytelnika takiego, jakim on jest.

— Jako zastępca naczelnego publikował Pan komentarze „Tydzień na świecie”. Czy zmiana stanowiska sprawiła, że poza „Gazetą” świata Pan nie widzi?

— Rzeczywiście, nawal obowiązków redaktorskich, wiążący się także ze znacznym odmłodzeniem zespołu, spowodował rozstanie z piórem. Zastanawiałem się już nad powrotem do pisania, może w nieco innej formie. Sa szanse, że stanie się tak już niedługo.

— Czy żałuje Pan dokonanego wyboru zawodu?

— Za późno na takie rozważania. Był czas, że myślałem o chemii. Pracując przez tyle lat miałem niemało satysfakcji, więc chyba zdecydowałbym się raz jeszcze.

— Jakie Pańskie doświadczenia mogą być argumentem dla młodych ludzi do zainteresowania się tym fachem?

— Jak żaden inny daje on możliwość wglądu w życie społeczne, szansę codziennych kontaktów z ludźmi, przemieszczania się po kraju. Jeśli ma się tę ciekawość i trochę talentu, warto próbować, ale ze świadomością, że i wymagania są ogromne.

— Jak widzi Pan prestiż tego zawodu obecnie?

— Chętnie posługiwano się niedawno określeniem „prasa kłamie”. Chyba jednak odeszliśmy dość daleko zarówno od propagandy sukcesu, jak i propagandy klęski. Rzeczowość, konkretność, wiarygodność pozwolą, jak sądzę, naprawić te szkody, które przyniosły oba wspomniane okresy.

— Słynie Pan jako dobry myśliciel. Jaką największą sztukę udało się Panu opanować?

— Nie interesuje mnie zwierzyzna gruba. Natomiast chętnie zasadam się na jajce, kaczkę, kurapatwę. Rekordów nigdy nie miałem.

— Czy umiejętności łowieckie przydają się w zawodzie?

— Tak. Czasem udaje się strzelić „kaczkę” dziennikarską. Ale mówiąc poważnie jest to świetny relaks, podobnie jak wędkowanie czy uprawa działki.

— Dziękuję za rozmowę i w imieniu „Kontkistów” życzę „Gazecie” spełnienia wszystkich zamierzeń.



PARADA FOTOREPORTERÓW

Wacław Kapusto

Zdobi swymi fotogramami łamy dwutygodnika olsztyńskiego „Warmia i Mazury”. Przedtem był kierownikiem działu „Panoramy Północnej”, jeszcze wcześniej współpracował z „Głosem Olsztyńskim”.

Jest laureatem wystaw i konkursów, m.in.: II Międzynarodowej Wystawy Fotografii Artystycznej, III Festiwalu „Wiosna Opolska”, „Bursztynowy Obiektyw” w Gdańsku, World Press Photo w Hadze (w 1961, 1964 i 1966 r.), II Salonu Fotografików Polski Północnej, Ogólnopolskiego Konkursu Fotografii Prasowej „Warszawa”.



TO MI WYSZŁO!



Bez białych rękawiczek

MICHAŁ MATYSIUK, robotnik, przewodniczący Zarządu Zakładowego Związku Pracowników Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew” w Łomży: — Zapisano się do nas 308 osób, co stanowi 13 procent załogi. Działamy jednak w imieniu wszystkich pracowników. Najwięcej mamy spraw socjalno-bytowych: próśb o przydział mieszkania, przyznanie zapomogi. Już teraz upominamy się o posiłki regeneracyjne. Chcemy, by były one smaczne, różnorodne i wysokokaloryczne. Wkrótce czekają nas wybory społecznych inspektorów pracy. Są potrzebni, choćby do nadzoru warunków bhp.

Jakie problemy towarzyszą nam na co dzień? Wczoraj, na przykład, rozpatrywaliśmy wnioski o zasiłki statutowe. Zapomogli otrzymali 2 osoby. Jedną skierowaliśmy do kasy zapomogowo-pożyczkowej, ponieważ bezzwrotna pomoc przysługuje tylko w specyficznych wypadkach: kradzieże, pożary.

Kwestie te omawiamy na posiedzeniach Zarządu, ich ślad pozostaje w protokołach. 19 kwietnia rozpatrywaliśmy wnioski o umorzenie spłat kredytu MM. Pracownica miała rzeczywiście ciężką sytuację. Otrzymała tylko zasiłek — na siebie i dwoje dzieci. Umorzyliśmy jej 40 procent rat. 9 maja załoga zapoznała się z działalnością związku na otwartym zebraniu informacyjnym. 1 czerwca rozpatrywaliśmy skargi pracowników, którzy w czasie stanu wojennego byli powołani do wojska lub do ROMO. Po powrocie do zakładu nie otrzymali ani trzynastki, ani czternastki. Ich roszczenia były uzasadnione. Sprawy załatwiono pozytywnie, choć walczyliśmy o nie 2 miesiące.

7 lipca napłynął wniosek dyrektora o ukaranie pracownicy za to, że była u lekarza w Kolnie, dostała pieczęć w książeczce ubezpieczeniowej, ale nie otrzymała zwolnienia na ten dzień. Władze zakładu potraktowały to jako nieusprawiedliwioną nieobecność. Staliśmy w jej obronie i sprawę wygraliśmy.

19 sierpnia zajmowaliśmy się bardzo przykrą kwestią. Pracownik, który uprzednio dzięki nam otrzymał mieszkanie, ukradł tkaninę. Zwolniono go dyscyplinarnie. Zwrócił się do nas. W takich wypadkach jesteśmy bezwzględni. Inny kradł części — aż 3 razy. Też stracił pracę.

Tam, gdzie pracownik ma rację, jesteśmy po jego stronie. Gdy łamie dyscyplinę, spożywa alkohol, wtedy nie może na nas liczyć. Nasz związek musi być sprawiedliwy i obiektywny, bo tylko w taki sposób zdobywa się uznanie wśród załogi i partnerstwo w rozmowach z dyrekcją, samorządem.

Jak się czuję w roli przewodniczącego? Na pewno przybyło mi pracy. Funkcję (pochłania mi 3-4 godziny dziennie) pełnię społecznie. Gdy moja zmiana przychodzi — zakładu około czternastej, ja jestem o dziewiątej, dziesiątej, by wpaść na dyżur do zarządu, — zapoznać się z bieżącymi sprawami. Ale najważniejsze jest to, że związek coraz pewniej staje na nogi i pozyskuje nowych członków. O słuszności tej drogi przekonałem się także na spotkaniu generała Wojciecha Jaruzelskiego ze związkowcami w Katowicach. Była to rozmowa — jak trafnie określił szef rządu — bez krawata i białych rękawiczek. Zapowiedział także, iż spotkanie to jest początkiem współpracy władzy z

W pracy spędzamy prawie połowę naszego życia. Toteż atmosfera w niej panująca, stosunki międzyludzkie w zakładzie są bardzo ważne. Umysłowił to nam wszystkim brak przez pewien czas związków zawodowych. Dokumentowaliśmy ten stan publikacją „Bezkrólewie” z 21 XI 1982 roku, w której przedstawiliśmy pilne problemy socjalne, zdrowotne, higieniczne — wymagające rozwiązania.

Dziś w Łomżyńskim do 216 związków (na 245 zakładów, w których mogą działać) należy 13 500 pracowników. 87 organizacji przyjęło plany pracy, wybrało zarządy. W comiesięcznej kolumnie związkowej — „Nasz dzień powszedni” chcemy prezentować różne punkty widzenia robotniczych spraw, skuteczne sposoby rozwiązywania przeróżnych problemów, najciekawsze, najtrafniejsze inicjatywy doskonalenia pracy i życia załogi, wy poczynku, kultury, rekreacji.

Liczmy na współpracę — wspólnie możemy zrobić więcej. Piszcie na adres redakcji z dopiskiem na kopercie: „Nasz dzień powszedni”, telefonujcie (nr centrali: 42-43, 42-44) wzywajcie na interwencję, a także po to, aby się pochwalić osiągnięciami — dać przykład innym i niezadowolonych zdopingować do działania.

naszymi organizacjami. Piękna to deklaracja, lecz aby się spełniła, musimy w tych dyskusjach być goźdowymi partnerami, o sprawy robotnicze potrafimy się upomnieć, ale chcemy znać możliwości ich realizacji.

Pierwsze spotkanie było chyba udane. Opowiadaliśmy się za zwolnieniem związków z opłat na Państwowy Fundusz Aktywizacji Zawodowej — mamy jeszcze bardzo skromne fundusze. Ale nie chcemy od nikogo darowizny, aby się nie uzależnić. Proponowaliśmy też równą górną stawkę w wysokości 60 złotych za godzinę pracy we wszystkich przemysłach, podniesienie deputatu węglowego, co nastąpi w pierwszych miesiącach przyszłego roku, oraz zniesienie reglamentacji przetworów zbożowych.

Wystąpienia były ostre, krytyczne, ale i dojrzałe. Nikt za to nie obrażał się, nie zrywał rozmów. Upewniliśmy się, że z rządem generała Jaruzelskiego można się dogadać.

Lekarza ani na lekarstwo

STANISŁAWA ŻBIKOWSKA, przedstawicielka organizacji związkowej w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolnego w Grajewie: — Nasza załoga na wiejskich budowlach ma bardzo trudne warunki. Brakuje odzieży ochronnej i... lekarza. Należymy do przychodni zakładowej w „Pasmancie”, aż 5 kilometrów od bazy. Na wizytę trzeba trać cały dzień. Stąd w pracy dużo nieobecnych, wielu z firmy odchodzi. Polepszyłaby naszą sytuację przychylność wiejskich ośrodków zdrowia, ale słyszymy w kółko: „Macie swoją przychodnię”. Niewygód tych nie wyrówna gwarancja zakładu, iż tylko u nas w ciągu pięciu lat otrzymacie się mieszkanie.

Polewanie na pracowników

WANDA MARCINKOWSKA, przewodnicząca Zarządu Zakładowego Związku Pracowników Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej w Zambrowie: — Tracimy młodych pracowników, bo pracę — ze względu na stan krosien i specyfikę przerabianego surowca — mamy ciężką, a pensje nie są wysokie. Aby wy dostać się z tej trud-

nej sytuacji, należy podnieść płace zasadnicze na produkcji, uczniom szkoły przyzakładowej zapewnić stypendia fundowane w wysokości 3-4 tysięcy złotych. „Przyciągnie” to i do nas, bo czyż będą szukać gdzie indziej, gdy dobrą pracę znajdą w macierzystym zakładzie? Mamy przecież własny dom kultury, przychodnię zakładową, kino, zespoły muzyczne. Systematycznie naprawiane są urządzenia klimatyzacyjne — „zmory” naszych pracowników.

Nerwy na haku

KAZIMIERZ JANKOWSKI, robotnik w LZPB „Narew”: — Po cholere są te kartki na mięso, gdy w sklepie bez kolejki nawet kaszanki nie dostaniesz. Jesteś jakkolwiek, a robić trzeba rzetelnie. Czy coś słyszałem o nowym związku w zakładzie? Coś tam jest, ale bliżej się tym nie interesuję, bo i tak do niego nie wstąpię. Nie mam pewności, czy znów z czasem nie rozwiążą, jak poprzednie.

JANUSZ JANKOWSKI, mistrz w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Go-

Kto do nich wstąpił, ma wpływ, a kto nie wstąpił, ten sam siebie wyklucza z kształtowania nowego ruchu związkowego.

Mieczysław F. Rakowski

spodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Wysokim Mazowieckiem: — Związek nasz powstał niedawno: cztery miesiące temu. Jak się spiesz, okaże czas. Odnoszę wrażenie, że jest on w zakładzie widoczny. Chciałbym, by był silny, autentyczny, skutecznie bronił interesów robotnika. Jeśli się tak stanie, uzyskam i moje poparcie.

KAZIMIERZ KUJAWA, robotnik warsztatu w Okręgowym Zakładzie Transportu i Maszyn Drogowych w Wysokim Mazowieckiem: — Działalności związku w naszym zakładzie wcale nie dostrzegam. Ludzie do niego się nie garna, bo zarząd swój ma bardzo daleko, aż w Białymstoku. Aby tę organizację ożywić tak, by pozyskała załogę, potrzeba autentycznych zapaleńców, a o takich bardzo trudno. Sam się głowie, dlaczego ich u nas nie ma. Gdyby wcześniej odbyło się spotka-

nie Rakowskiego ze stoczniowcami, lepiej byśmy znali naszą związkową sytuację.

Przepustka do kolejki

Głosy pracowników z hali w Spółdzielni Zabawek „Miś” w Łomży: — W sierpniu zaopatrzenie było najgorsze. Trochę więcej wędlin rzucili do sklepów dopiero przedostatniego dnia. Gdyby było więcej towaru, nie musiałibyśmy wychodzić z pracy do kolejki. Przecież po to przychodzimy do zakładu, aby jak najwięcej produkować. Ale musimy też i jeść.

Namawianie do odwagi

EUGENIUSZ MIODUSZEWSKI, wicewojewoda stale współpracujący ze związkami zawodowymi: — Związki w naszym województwie były jednymi z pierwszych w kraju. Najwięcej powstało ich w szkołach i służbie zdrowia, najmniej — w spółdzielniach. 22 sierpnia byłem na spotkaniu z załogą zambrowskiej „Bawelny”. Podobnie odbyłem w POM-ach w Stawiskach i Sze-

nie. Nie brakowało narzeków na skromne dostawy. Sytuacja jest rzeczywiście ciężka, bo jak czego nie ma, to żadna, nawet najpiękniejsza obietnica towaru nie zastąpi. 23 sierpnia z przedstawicielami związków spotkał się wojewodą Jerzy Zientara. Głos zabrano 4-5 związkowców. Sądzę, że przedstawiciele związków są na takich spotkaniach za mało śmiały i aktywni. Na ocenę ruchu chyba jeszcze za wcześnie.

KAZIMIERZ LEMANSKI, naczelnik miasta i gminy w Kolnie: — W dużym zakładzie mleczarskim związku jeszcze nie ma. W Spółdzielni Transportu Wiejskiego już zawiązał się. Jego przedstawiciele prosili mnie o przyspieszenie przydziału mieszkania. Sprawę załatwiłem niemal od ręki, bo miałem akurat takie możliwości. Była to jedyna kwestia, z którą się do mnie zwrócili.

FRANCISZEK PRUSZYŃSKI, zastępca dyrektora ds. technicznych Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Wysokim Mazowieckiem: — Związek powstał spontanicznie na wiosnę tego roku. Zrzesza 80 procent załogi. Ma swój zarząd. Na razie widzimy w nim przyjaciela. Pomaga nam wprowadzać ustawę o wycelowaniu w trzeźwość, zwalczać marnotrawstwo, złą dyscyplinę pracy, wdraża wspólnie z nami program oszczędnościowy.

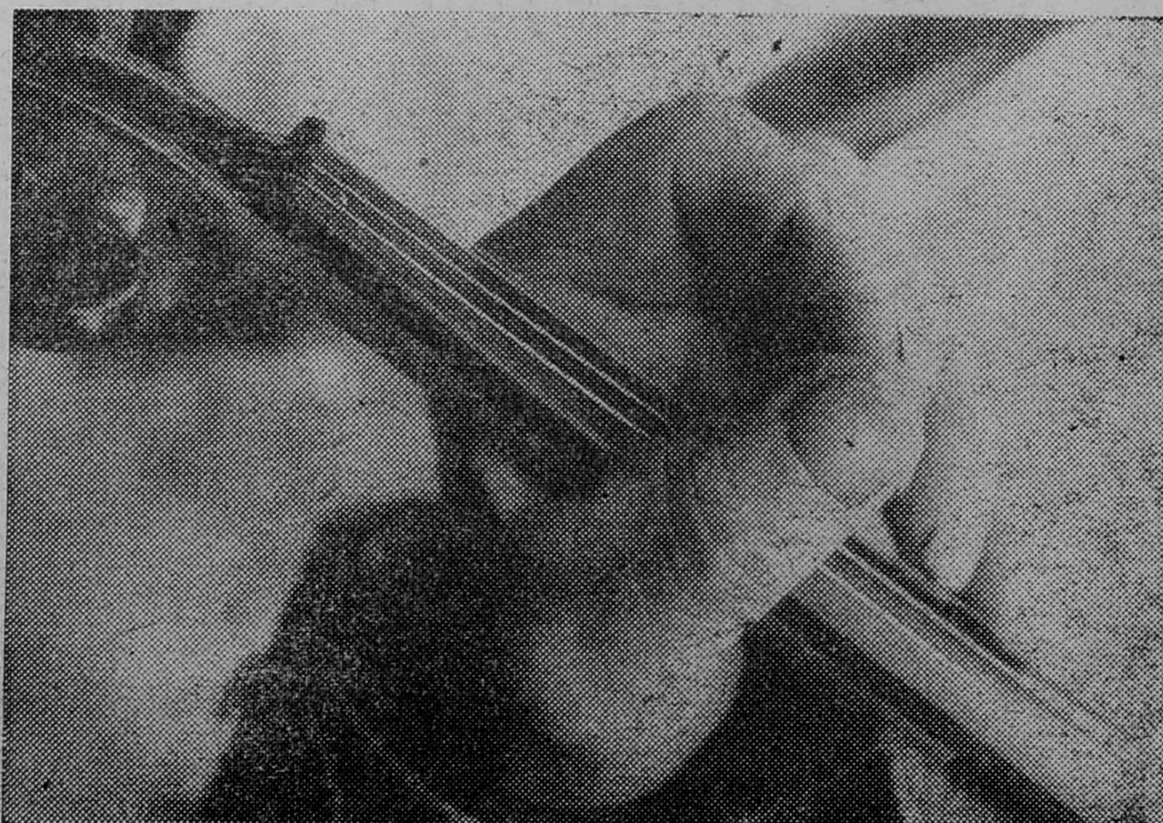
EDWARD SZAFRANKOWSKI, prezes OSM w Wysokim Mazowieckiem: — Nie powiem, że było u nas źle za czasów działania komisji socjalnej. Musiałem jednak wtedy sprawy dotyczące załogi podejmować w mniejszym gronie i stąd spoczywała na mnie większa odpowiedzialność. Teraz proszę związkowców, mistrzów, samorząd. Jest nas więcej, a stąd i mniejsza ewentualność pomyłki.

JÓZEF DORKO, zastępca prezesa w Spółdzielni „Miś”: — Co słychać u nas w zakładzie? Pracownicy narzekają na zaopatrzenie sklepów. Przecież można tak zorganizować dostawy, by zakupy zrobiły po pracy.

Przygotował:

STANISŁAW ZIELIŃSKI

NASZ DZIEŃ POWSZEDNI



Wujno! Niech wujna podejdzie! krzyczy wychylony wpół przez sztachety ogrodzenia, a półgłosem instruuje mnie. — Przede wszystkim trzeba porozmawiać z rodziną. Powiedzą wszystko, jak i ja.

— Daj spokój, Franek, co ja tam się będę wtrącała w wasze sprawy — kobieta lustruje mnie kosym spojrzaniem. — Po co to komu?

— Ale powiedz, okradła mnie?

— Okradła, nie okradła, ja tam wolę o niczym nie wiedzieć.

Milczyłam chwilę niby to wpatrzona w odchodzącą kobietę.

— Chyba miał pan rację — mówi wyraźnie speszony, zakłopotany. — Boją się awantury.

— Jednak przejdę się po sąsiadach — patrzę wyczekująco. Może zaprotestuje?

— No tak, trzeba obiektywnie — odpowiada bezwiednie. — Ale nic to nie da — dodaje jakby trochę zrezygnowany. — Oni na pewno też nic nie powiedzą. Nie mają w tym interesu. Od razu nastawili się na to, że rozkupią całe gospodarstwo, więc moja decyzja była im zupełnie nie po nosie. W sąsiadce z lewej mam wroga od paru lat. Budowała oborę, zachciała jej się dachu dwuspadowego. Rodzice zabronili, bo wtedy my nie mielibyśmy jak się rozbudować. Musiała przerabiać całą więźbę dachową. Teraz zeznaje w sądzie przeciw mnie. Ci z prawej, co prawda, nic do mnie nie mają, ale u nich zatrzymuje się Irena. Przyjeżdża w sobotę koło południa, siada w oknie i czeka. Szwagier tymczasem zajeżdża wozem za stodołę. Niechbym się tylko gdzieś ruszył.

— — —

Nie mówi tego wprost, ale na pewno czuje żal do losu. Gdyby nie wypadek, wszystko z pewnością potoczyłoby się inaczej. Nie tułalby się cztery lata po szpitalach, ojciec przepisałby na niego gospodarstwo. Nie zrobił tego, bo — podobno — wolał jego inwalidzką rentę niż swoją, dużo skromniejszą, za ziemię. Mogło jednak być i inaczej. Może tkwi w nim, jak drzazga, podejrzenie, że ojciec bał się oddać ziemię kalece?

W tej chwili nie ma to już znaczenia. Ojciec umarł, miesiąc później zabrał za sobą matkę. Jakby przeczuwając późniejsze następstwa chciała jeszcze naprawić błąd męża, napisała podania do sądu, służby rolnej...

Wyprawiał pogrzeb po pogrzebie za pożyczone pieniądze. Od siostry nie wziął nawet grosza. Po prostu nie dała. Za to jeszcze na stypie urządziła mu karczemną awanturę o to, że przymuszał matkę do pisania testamentu. No bo przecież ziemia, ba, całe gospodarstwo, należy się jej. To nic, że rodzice wcześniej kupili jej prawie dwa hektary ornej, a on stawiał tam letnią kuchnię i stodołę. I gotów był nawet doplacić 300 tysięcy. Nie liczył się, że teraz daje jej trzyletnią zrebkę, krowę, dwoje prosiąt, dziesięć kwintali żyta, część jęczmienia i pszenicy. Cóż z tego, że systematycznie opłaca PZU i fundusz emerytalny (bo nakazy przychodzą na niego, nie na nią). Irena nie zgadza się. To ona może dopłacić. Nie mówi tylko, skąd wzięłaby tyle pieniędzy.

Pierwszą sprawę o prawo do spadku założył w miesiąc po śmierci matki. Spieszył się, chciał załatwić wszystko przed swoim ślubem. Musiał mieć to gospodarstwo, bo ambicja nie pozwalała mu, by mieszkać u teściów. Drażniła go ich niechęć, ciągle wytykanie kalektwa. Zaczął też myśleć o modernizacji gospodarstwa, remoncie budynków gospodarczych i domu. Kupił cement, wapno, deski i cegły.

Siostry na ślub nie zaprosił. Chciał uniknąć kolejnej awantury. Zbyt dobrze znał Irenę, by nie spodziewać się, że ta napadnie teścia za „podjudzanie” go do przejęcia gospodarstwa. Czegoś jednak nie przewidział. Kiedy wrócił do siebie po dwóch miodowych tygodniach, miał prawo załamać się zupełnie. Z domu zniknęły wszystkie meble, drzwi i zimowe okna, w kuchni brakowało pieca, a w jednym z pokoi — podłogi. Ściany odarte były z tynków. Długo chodził po podwórzu, zaglądał w kąty obory i stodoły. Co chwila dorzucał coś nowego do bilansu strat: ziemniaki, większość zboża przeznaczonego na wiosenne siewy, siano, prawie wszystkie maszyny rolnicze, część belkowania z poszycia budynków gospodarskich, deski ze ścian. Szczęście w nieszczęściu, że zdążył spłacić dłu-

gi (za pogrzeby) sprzedając cały inventar. Mimo wszystko nie myślał rezygnować. Ostatecznie jest przecież jeszcze jakaś sprawiedliwość. Na posterunku milicji powiedziano mu, że do spraw rodzinnych nie będą się wtrącać, a sąsiedzi — do których zwrócił się o użyczenie jakiegoś kąta na okres zimy — odmówili. Przeniósł się więc pod Warszawę, do żony i teściów, obiecał sobie jednak, że wróci na wiosnę. Na jednej z kolejnych rozpraw Irena przedstawiła sądowi bardzo istotny dla sprawy argument: brat pozostawił gospodarstwo bez opieki.

W tym roku nie zdąży już chyba wiele zrobić. Postawił nowy piec, założył podłogę, może uda mu się obić ściany płytą pilśniową. Złożył, co prawda, podanie o przydział materiałów budowlanych, ale to pewnie trochę potrwa. Na razie stara się więc sztukować ubytki tym, co ma pod ręką. Powolutku wymienia

nikt z sąsiadów nie przyjął mnie do siebie? Chodziła po wszystkich i obiecywała, że ich spali, jeżeli mi pomogą. Może to tylko czcze pogroźki, a może rzeczywiście by tak zrobiła?! Chłopi w każdym razie się przestraszyli. W ubiegłym roku napatoczyła się akurat na moment, kiedy dobijaliśmy z sąsiadem targu o słomę. Powiedziała mu, żeby nie ważył się kupować, bo utopi w nim nóż. Część słomy zabrała sobie, część do dnia dzisiejszego gnije za stodołą. Z całego sprzętu rolniczego udało mi się uratować przed jej zachłannością tylko maszynę omłotową. W gospodarstwie zostawić młocarni nie mogłem, bo Irena „upilnowałaby” ją nawet przy najkrótszej mojej nieobecności (przecież i teraz podbiera mi, co tylko napatoczy się jej pod rękę), zawiozłem więc maszynę do sąsiedniej wsi, do wuja. Myśli pan, że nie znalazła, nie wyawanturowała jej?

To jest już pazerność zapisana we krwi. Ja rozumiem, ona się teraz buduje, potrzebne są jej materiały budowlane, pieniądze. Ale po co zabierała zimowe okna? Przecież one jej tam wcale nie pasują. I z dziadostwa wyjść też na pewno nie pomogą. Tak, z dziadostwa! No bo jak tu nie nazywać dziadami takich, co to nie potrafią wyżyć z piętnastu hektarów? Wystarczy popatrzeć, jak się tam u nich gospodarzy. Brud, nieporządek, wałaca się chałupa, oberwane dzieciaki. Ziemniaki zostają w polu, zboże nigdy nie zebrane na czas. Ona bez przerwy „kolęduje”: to dopadnie kogoś, kto właśnie przyjechał ze Stanów, to pójdzie do Urzędu po jakieś ciuchy, paczki. Rzadko do nich jeździłem, bo nawet nie mieli czym ugościć. Gdy zatrudnili majstra, żeby nie paść z głodu, musiał zabierać ze sobą na budowę własną walówkę.

— — —

Antek, rusz się, zaprzęgaj konia! — Antek odrywa wzrok od jakiegoś punktu w przestrzeni, posłusznie wykonuje polecenie żony. Potem znowu zastęga w geście nieprzytomnego zapatrzenia. — Antek!

Irena radzić musi sobie ze wszystkim sama. Z szóstką dzieci, mężem kaleką, zaniedbanym gospodarstwem, wreszcie — z budową. Musi



poszycie obory, podnosi nieco dach stodoły. Skończył technikum budowlane, zna się trochę na rzeczy. Chciałby w przyszłości założyć fermę owiec, ale zanim do tego dojdzie, kupi ze dwa-trzy świniaki, jakieś kury. W głębi podwórka założył mały ogródek warzywny. Z myślą o żonie, a prawdę powiedziawszy, także o siostrze i sąsiadach. Niech wiedzą, że nie myśli stąd odchodzić. Ostatnio warzywnik jakby trochę zarósł. Po prostu nie ma kto i kiedy się nim zająć. Żniwa.

— — —

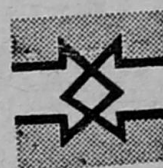
Jaka właściwie jest pańska siostra? Chce pan widzieć, dlaczego

być zaradna, wszędzie pójść, wyklócić się o swoje. Inaczej wszystkie te problemy dawno by już ją przerosły. Korzysta z tego, że nareszcie ma w tym domu coś do powiedzenia, nie musi się już liczyć z apodyktycznym zdaniem niedoświadczonych, kalekich teściów, którzy doprowadzili gospodarstwo do ruiny. Teraz myśli przede wszystkim o jednym — zakończyć budowę nim zawali się w starej chałupie przegniły, zapadnięty dach. No i szczęśliwie urodzić siódme, wyczekiwane dziecko.

Imiona bohaterów zostały zmienione.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia



25 IX 83

„Proszę o pomoc dla wszystkich żon i dzieci z ulicy Świerczewskiego w Łomży. Na ulicy tej szerzy się handel alkoholem o każdej porze dnia i nocy. Za 800 złotych lub na kredyt nabyć go można (tu pięć adresów). Gdzie jest dzielnicowy z ulicy Świerczewskiego?” — pyta obywatelka w liście. Z kółt zbliżonych do monopolu spirytusowego dowiedzieliśmy się, że niucha w zaułkach groźnej ustawy, dzięki której spekulant i klient wspólnie mu grają na pełnej butelce.

— — —

Od miesięcy tuła się po Łomży staruszka w lachmanach: nikt nie wie, z czego żyje, gdzie śpi, czy ma rodzinę, która mogłaby się nią opiekować. Nic więc dziwnego, że nie do końca zobojętniali na los biżniego ludzka, zainteresowali jej sytuacją redakcję. W pierwszym odruchu połączyliśmy się — przedstawiając problem — z Działem Służb Społecznych Wojewódzkiego Szpitala Zespołonego przy ul. Partyzantów. Odpowiedział nam głośny śmiech. I kto tu bardziej nieszczęśliwy?

— — —

Parom, które zdołały szczęśliwie przeżyć ze sobą 50 lat, przysługuje medal „Za długoletnie pożycie małżeńskie”. Na początku kwietnia USC w Zambrowie wystosował do Rady Pństwa stosowne wnioski — medali jednak brak, dostojni jubilatki czekają. Po szczęściu z własnej nieprzymuszonej woli czeka nas już tylko szczęście na św. Biurokrata?

— — —

W trakcie pertraktacji koła ZSMP w Zaskrodziu z „Ruchem” w Grajewie o pożowne uruchomienie we wsi klubu książki i prasy, miejscowi strażacy — by do tego nie dopuścić — błyskawicznie rozebrali mur dzielący stoisko sprzedaży od sali klubowej. Ot, „Zemsta”, mościu panie.

— — —

Na ulicy Spokojnej w Kolnie trwa od miesięcy budowa kanatu burzowego. Końca robót nie widać, nie zabezpieczone, kilkumetrowe wykopy stały się natomiast miejscem zabaw najmłodszych. Około dziesięciu lat temu w podobnych wykopach, w tym samym Kolnie, zginęło dwoje dzieci. Więc do trzeci go trupka?

— — —

Onegdaj Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży zawarło z rolnikami umowę na skup ziemniaków, gwarantując 500 złotych za kwintal, plus 40 złotych za każdy procent skrobi, przekraczający 13. Teraz jednostronnie zmieniło warunki i płaci ryczałtem, niezależnie od jakości surowca, 580 złotych. Ziemniaki z tegorocznych zbiorów posiadają 16—17 procent skrobi, więc nie trzeba przekonywać, kto na tym traci. Przedsiębiorstwu wydaje się, że ma argumenty: brak ludzi do pracy, udział w tak dobrych rezultatach uzyskanych przez rolników itp. Tylko szuler bez wyobraźni może sądzić, iż partner zrobiony w jajo nie odpłaci się zbukiem przy rewanżu.





„Wszystko o miłości” Mikołaja Kozakiewicza — tytuł nieustannie poszukiwany od chwili pojawienia się przed dwudziestu laty — zdało się do końca wyczerpywać ten, ołoczony dotąd tabu, problem naszego życia. Tymczasem i tu „wszystko płynie”. Za sprawą młodego, zbuntowanego pokolenia jakość i rozmiar przemian obyczajowych i seksualnych przypominają kosmiczne przyspieszenie. Co zatem się stało? Dlaczego? Z jakimi konsekwencjami? Te, szczególnie niepokojące pytania, ponownie podejmuje autor słynnej książki. Próba odpowiedzi — którą pomieszczamy — kontynuuje — po opublikowanych już materiałach — cykl, który, mamy nadzieję, zbliży nas do tak niezbędnej prawdy o młodym pokoleniu.

OKRES WYCZEKIWANIA

Nie się nie dzieje bez powodu. Mają również swoje przyczyny zachodzące w Europie przemiany obyczajowe w dziedzinie seksu.

Podłożem biologicznym aktywności seksualnej młodzieży jest oczywiście proces jej fizycznego seksualnego i psychicznego (emocjonalnego) dojrzewania. Badania we wszystkich krajach wykazują przyspieszenie tego procesu: w sensie zwiększania się wagi ciała i wzrostu właściwego dla danego wieku, wieku pierwszej menstruacji u dziewcząt i ejakulacji u chłopców. Wszystkie te objawy akceleracji rozwojowej są w bezpośrednim związku przyczynowym z obniżeniem się wieku, w którym przejawia się aktywność seksualna, a więc mają bezpośredni wpływ na właściwą periodyzację i programowanie działalności wychowawczej zmierzającej do przygotowania młodzieży do życia seksualnego, według przyjętej już powszechnie zasady: „działać wyprzedzająco” w stosunku do określonych zjawisk i zachowań.

W wyniku przyspieszenia rozwoju fizycznego średni wiek wystąpienia pierwszej menstruacji dziewcząt obniżył się w większości zbadanych krajów do lat 13 (przed 35—50 laty wynosił średnio lat 15 i więcej), a pierwszej ejakulacji chłopców — do lat 14. Czas, jaki upływa między wiekiem osiągnięcia dojrzałości płciowej a wiekiem zawarcia małżeństwa, proponuję nazwać „okresem wyczekiwania”; stanowi główny przedmiot zainteresowania i starań wychowania seksualnego we wszystkich krajach; w Europie wynosi około 10 lat dla chłopców i 9 dla dziewcząt. Jeśli do wymienionych czynników dodamy takie, jak praca zawodowa obojga rodziców (brak kontroli), powszechna koedukacja w szkolnictwie i pracy, wreszcie erotyzacja literatury, sztuki, filmu, piosenki i reklamy oraz postępująca laicyzacja myślenia o sprawach płci — otrzymamy wiązkę przyczyn niezależnych od woli samej młodzieży, dla których musiały dokonać się zarówno zmiany w jej obyczajowości, jak i zachowaniach seksualnych.

IGRCE

Wiadomo nie od dzisiaj, że masturbacja (onanizm) jest najwcześniejszą formą aktywności seksualnej młodzieży, przy czym stanowi ona zastępcze wyjście wobec istniejących moralno-rozrządkowych ograniczeń, jakie w kulturze europejskiej nakłada się na wczesne pełne stosunki płciowe. Dane z różnych badań empirycznych podsuwają ważne wnioski dla wychowania seksualnego, świadczą one bowiem zgodnie o tym, że: masturbacja jest niemal powszechnym zjawiskiem wśród młodzieży męskiej, uprawia ją 1/6 — 1/2 kobiet; najczęściej praktyki masturbacyjne zaczynają się wraz z wiekiem dojrzewania, a główne nasilenie u mężczyzn występuje przed 20 rokiem życia.

Jak wykazują Sigusch i Schmidt, badając kolejne generacje młodzie-

ży, następuje stopniowe obniżanie się wieku, w jakim rozpoczyna się praktyki masturbacyjne, oraz podnosi się stopień jej powszechności zarówno u chłopców, jak i u dziewcząt.

Ogólnie się uważa, że po masturbacji petting jest kolejnym etapem seksualnego rozwoju młodzieży, który wyprzedza podjęcie pierwszego stosunku płciowego. Podczas gdy w Europie jest on krótkotrwałą fazą, poprzedzającą rozpoczęcie pełnych stosunków płciowych, w USA jest to trwająca kilka lat faza rozwojowa, rodzaj „instytucji społecznej”, służącej szukaniu kompromisu między potrzebą rozładowania napięcia seksualnego, a silnym społecznym tabu: stosunków przedmażeńskich. Analiza danych statystycznych z terenu Europy wskazuje na skorelowanie częstotliwości pettingu z pewnymi cechami społecznymi respondentów: występuje on częściej wśród warstw lepiej wykształconych i w dużych ośrodkach zurbanizowanych; jest częstszym zjawiskiem wśród osób słabo związanych z religią lub niereligijnych; jest częstszy wśród młodzieży niż dorosłych.

Stosunek wychowawców seksualnych do pettingu oscyluje od pełnego potępienia dla powodów zdrowotnych i moralnych (głównie katolicy pedagodzy), przez powściągliwy krytycyzm ekspertów przypisujących praktykom pettingowym powodowanie trudności w osiąganiu orgazmu przez kobietę w późniejszym pożytku płciowym (na skutek wcześniejszych doświadczeń z innym partnerem w formie niezwykłej), aż do pełnej akceptacji, opierającej się na przekonaniu, iż petting jest właśnie najlepszą okazją do ćwiczenia reakcji seksualnej kobiety, która — w odróżnieniu od mężczyzny — musi się tej reakcji „nauczyć”, nie mając jej danej „od natury” w gotowej postaci.

TEN PIERWSZY RAZ

Za moment inicjacji uważa się odbycie pierwszego stosunku płciowego (nie zalicza się więc do inicjacji wcześniejszych praktyk masturbacyjnych i doświadczeń pettingowych). Badania wielu inicjacji przynoszą informacje dość zastanawiające. I tak np.: średnia wieku pierwszego stosunku u Francuzów wynosiła — wg badań — 17,9 lat, u Francuzek 20,2; u dziewcząt norweskich — 18,3 lat; w Finlandii mediana inicjacji wyniosła 17,3 lat u mężczyzn i 18,4 u kobiet. Gołód ustalił medianę wieku inicjacji dla studentów Leningradu na 17,9, dla studentek na lat 20,4. Średnią wieku inicjacji dla dziewcząt z Czechosłowackich ustalono na 19,5 lat.

Średnia wieku inicjacji seksualnej obniża się we wszystkich krajach europejskich, co jest związane zarówno z wcześniej wspomnianym procesem akceleracji rozwojowej, jak i z zachodzącymi przemianami obyczajowymi.

Starania wychowania seksualnego w Europie idą w dwóch kierunkach. Restrykcyjne i tradycyjne jego odmiany zmierzają do zapobiegania samemu wypadkom inicjacji seksualnej przed zawarciem małżeństwa. Pedagogiki bardziej nowoczesne i liberalne zmierzają głównie do opóźnienia wieku inicjacji seksualnej do czasu uzyskania przez wychowanka odpowiedniego poziomu dojrzałości (seksualno-emocjonalnej, moralnej i społecznej).

Zebrane dane empiryczne także nie nadają się do bezpośrednich porównań między krajami; ważniejsze porównawczo są wnioski wysuwane na temat trendów rozwojowych, które wydają się we wszystkich krajach podobne. I tak: zwyżczaj rozpoczynania życia seksualnego przed ślubem staje się coraz powszechniejszy, przy czym z upływem czasu wiek środkowy inicjacji w większości krajów obniża się; zjawiskiem charakterystycznym jest nie tylko upowszechnianie się i obniżanie wieku przedmażeńskich inicjacji seksualnej, lecz stopniowe zacieranie się różnic między mężczyznami i kobietami; przemiany obyczajowe zachodzą w tym samym kierunku nie tylko w miastach, ale i na wsi, aczkolwiek poszczególne kraje różnią się od siebie pod tym względem. Obok takich, jak NRD,

które podkreślają brak większych różnic między zachowaniami młodzieży wiejskiej i miejskiej w tym dziedzaju, są inne, jak Francja, Polska, Bułgaria, Norwegia, Finlandia, które wykazują wolniejsze tempo tych przemian na wsi.

NIM NA ŚLUBNYM STANA KOBIERCU

Nie dzieje się bez powodu! Toteż następstwem poprzednio sygnalizowanych zjawisk jest fakt, iż rozpoczynanie życia seksualnego przed zawarciem małżeństwa staje się coraz bardziej powszechne i ma charakter nieodwracalny we wszystkich krajach europejskich, choć w jednym jest bardziej, w innych mniej zaawansowany. Według badań empirycznych wykonanych w Europie po roku 1970 — odsetki młodzieży, która w wieku 20 lat (lub zbliżonym) nie miała jeszcze żadnych doświadczeń seksualnych, wyglądały następująco: Bułgaria — kobiety 34 proc., mężczyźni — 41 proc.; Belgia — kobiety — 61, mężczyźni 63 proc.; Holandia — wśród ogółu 16—20-latków mężczyźni — 62 proc., kobiety — 58 proc. (ale wśród ogółu 20-latków — już tylko 28,3 proc.); Jugosławia — wśród uczniów w wieku 16—18 lat mężczyźni — 33,1 proc., kobiety — 30,4 proc.; Norwegia — w wieku 19 lat: mężczyźni 25 proc., kobiety — 33 proc.; Finlandia — w wieku 20 lat było „dziewięć” mężczyzn 9 proc., kobiet — 25 proc.; Polska — w wieku 18 lat było bez doświadczenia stosunku płciowego 40,5 proc. mężczyzn, 63,1 proc. kobiet; RFN — wśród robotników w wieku lat 20 było bez doświadczeń seksualnych 19 proc. mężczyzn i 17 proc. kobiet.

Czy upowszechniający się obyczaj stosunków przedmażeńskich wpływa na nietrwałość małżeństw i wzrost liczby rozwodów? Odpowiedzi na to pytanie bardziej zależą od postawy światopoglądowej badacza niż od samych wyników badawczych. Prawdopodobnie rosnąca liczba rozwodów i upowszechnianie się w tym samym czasie stosunków przedmażeńskich są rezultatem szerszych przemian cywilizacyjnych, ale nie są połączone bezpośrednim i wyłącznym związkiem przyczynowym.

W świetle wszystkich analizowanych badań można powiedzieć, że przeważająca większość młodych ludzi we wszystkich krajach uważa stosunki przedmażeńskie za dopuszczalne lub nawet pożądane. Zdecydowanie odrzuca lub potępia stosunki przedmażeńskie 2 proc. zbadanych w NRD, 1 proc. w RFN, 2 proc. w Austrii, 20 proc. studentów irlandzkich, 21 proc. uczniów i studentów belgijskich. W Polsce 23,5 proc. mężczyzn potępia je u siebie i 44,3 proc. u kobiet. I znów nie chodzi o to, aby porównywać te procenty, tylko aby stwierdzić, że we wszystkich zbadanych krajach młodzi ludzie potępiający bezwzględnie stosunki przedmażeńskie stanowią zawsze mniejszość. Tym niemniej różnice wśród akceptujących moralnie stosunki przedmażeńskie są wyraźne.

Istnieją wyraźne różnice między warunkami, pod jakimi młodzi ludzie są skłonni zaakceptować moralnie stosunki przedmażeńskie. Akceptują teoretycznie: stosunki przedmażeńskie (100 proc. chłopców, 95 proc. dziewcząt), między osobami kochającymi się (90 proc. chłopców, 85 proc. dziewcząt); między osobami dobrze znajomymi lub zaprzyjaźnionymi (50 proc. chłopcy, 40 proc. dziewczęta); bez wszelkich uczuć i z mało znaną, przypadkową osobą (30 proc. chłopców, 10 proc. dziewcząt). O ile stosunki między narzeczonymi i zakochanymi zyskują już niemal powszechną akceptację, to więź łącząca przyjaciół i kolegów wydaje się już większości młodych niewystarczająca do usprawiedliwienia współżycia płciowego. Seks, mimo wszelkich przemian obyczajowych, jest wciąż dla młodzieży przede wszystkim wyrazem uczuć, które dopiero nadają mu rangę moralną.

Z KIM?

Dane empiryczne wykazują, że we wszystkich krajach zbadanych,

inaczej niż to było przed 50 czy 70 laty, wśród partnerek pierwszego stosunku płciowego młodych mężczyzn najrzadziej występują prostytutki. Załedwie 3 proc. robotników w RFN zaczynało z prostytutką; we Francji 4 proc., podczas gdy w starszych grupach wiekowych (pow. 50 lat) odsetek ten wynosił 11 proc. W Polsce odsetek młodych mężczyzn inicjujących z prostytutką jest poniżej 1 proc. Tak więc — mimo aktualnego w większości krajów rozwoju samej prostytucji — nie prostytutki są najczęstszymi partnerkami młodzieży i nie można przemian obyczajowych młodzieży wiązać ze wzrostem ilościowym i postępującą specjalizacją prostytucji. Przeciwnie, wszystkie analizowane badania wykazują, że inicjacja seksualna w praktyce dokonuje się przede wszystkim: z narzeczonym lub „chodzącym” stale (50 proc. chłopcy i 70 proc. dziewczęta); znajomym, przyjacielem, dobrym kolegą (30 proc. chłopcy i 25 proc. dziewczęta); przypadkowo, z mało lub nie znaną osobą (20 proc. chłopcy i 5 proc. dziewczęta).

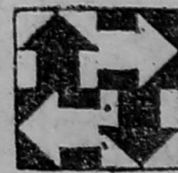
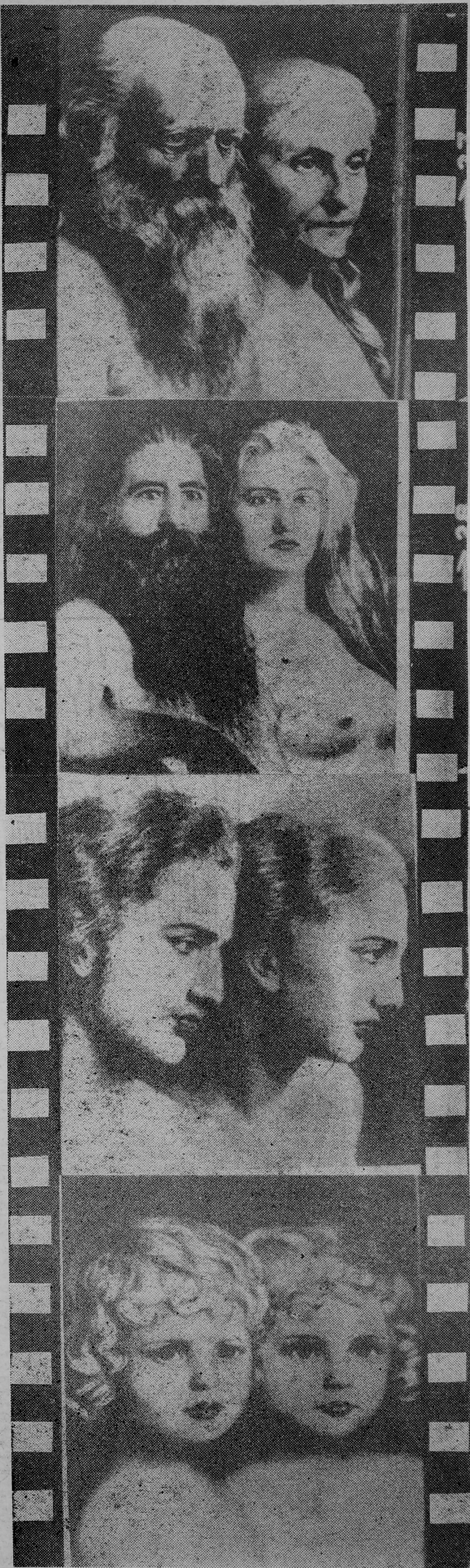
Ogólnie biorąc, najczęstszą partnerką pierwszego stosunku jest rówieśniczka (lub nieco młodsza), najczęściej już taka, która miała poprzednie doświadczenia seksualne. Odsetek dziewcząt, jakie były pierwszymi partnerkami młodych mężczyzn, oscyluje wokół 35 proc. (np. w Polsce — 35,9, we Francji — 33 proc.).

A JEDNAK!

Upowszechnianie się stosunków przedmażeńskich, jak też upowszechnianie się kohabitacji bez małżeństwa, nie oznacza bynajmniej, wbrew pozorom, zaniku wśród młodzieży pragnienia i gotowości do zawierania „normalnego” małżeństwa, chociaż stosunek do własnego przyszłego małżeństwa zmienia się z wiekiem i jest bardziej pozytywny u młodzieży starszej (około 20 roku życia) niż młodszej (około 18 roku życia i mniej). O (praktycznie) 100 proc. gotowości zawarcia kiedyś małżeństwa i o planowaniu go przez wszystkich młodych w ramach planu życiowego świadczą badania z NRD i Polski. We wszystkich krajach dziewczęta planują własne małżeństwo bardziej masowo i we wcześniejszym wieku, choć gra tutaj rolę wiek, a mianowicie: około 18 roku życia chłopcy częściej planują małżeństwo od dziewcząt, około 20 roku życia — częściej dziewczęta. Odsetek młodych ludzi, którzy w ogóle odrzucają myśl o małżeństwie i sądzą, że nigdy się nie ożenią, jest zróżnicowany, ale wszędzie mały.

Równie zdecydowana większość młodzieży pragnie i zamierza w przyszłości mieć własne dzieci. Badania wykazują jednak, iż młodzież z reguły planuje posiadanie mniejszej liczby dzieci niż ta, jaką teoretycznie uważa za optymalną, po czym w praktyce realizuje jeszcze mniejszą liczbę. Zarówno masowość samego planowania posiadania dzieci, jak też i liczby planowane, nie stwarzają jednak podstaw do optymistycznych prognoz demograficznych, co wywołuje niepokój rządów — zwłaszcza w tych krajach, w których (RFN, NRD, Belgia, Szwecja, Wielka Brytania) rozrodność jest już w tej chwili bardzo niska lub wręcz poniżej poziomu reprodukcji prostej. Dotyczy to nawet Finlandii i Norwegii, gdzie młodzież planuje najwyższe liczby dzieci (odpowiednio 2,6 do 2,9). Wiejski rezerwuwar ludnościowy opróżnia się także w tempie przyspieszonym, gdyż wszystkie badania potwierdzają systematyczne upodobanie się postaw prokreacyjnych na wsi do wzorów miejskich, zurbanizowanych.

Budzenie postaw rodzicielskich — jak dowodzą badania, w wielu krajach europejskich — staje się dlatego z upływem lat coraz ważniejszym celem wychowania seksualnego i rodzinnego. Co nam przyniesie?



Tak, nieczytalna, a nie — co podsuwa nawyk myślowo-optyczny — nieczytelna. Myślę o poezji, ale chyba można to odnieść do całej sztuki, ba — do naszej rzeczywistości duchowej, niematerialnej ostatnich lat. Ze zdziwieniem, przerażającym się niekiedy w popłoch, obserwuję, jak zanika „model Polaka”, który z ciekawości świata (nie wrodzonej, rzecz jasna, lecz wpajanej przez „organy propagandy” jakimi byli rodzice, najbliższe otoczenie, szkoła i polityka państwa w tym względzie) uczynił sposób zdobywania i ugruntowania wartości. Mądrość, wiedza, a nawet samo czytanie były w wysokiej cenie. Pamiętam rozmowy, gdy ludzie otwarcie przyznawali, że zazdrościli innym możliwości zdobywania wiedzy. I nie było to wyznawanie retoryczne.

Wśród nich byli ci, którzy pchałi swoje dzieci do szkół, na uczelnie, często kosztem największych wyrzeczeń (nauka potaniała u nas jedynie relatywnie — w stosunku do czasów przedwojennych, a także w odniesieniu do niektórych klas społecznych), bo wyznawali zasadę: „dzieci mądrzejsze muszą być od rodziców”. Nie myślę tu jedynie o środowisku chłopskim czy robotniczym, lecz przede wszystkim o warstwie średniej, tej nowej społecznej mieszaninie inteligencji, rzemieślników, kupców, zbiedniałego mieszczaństwa, zdeklasowanej arystokracji i awansowanego proletariatu. Jednym z nielicznych wyróżników i przejawów wewnętrznej so-

LISTY ZZA RZEKI

nieczytalna

HENRYK GAŁA

lidarności tej warstwy był właśnie stosunek do umysłu ludzkiego, jako źródła życiowego powodzenia, możliwości doznania lub zdobycia nobilitacji społecznej i osobistej.

Zjawisko to należy już do przeszłości. Niestety, fakt obiektywny i dlatego nieczuły na biadolenia i poszczekiwanie. Ważne wydaje się zwrócenie uwagi na długotrwałość i płodność tego zjawiska. Dzięki tym jego cechom kraj nasz został wyposażony bogato w indywidualności, zarówno w humanistyczne, jak i techniczne, w sztukach pięknych i dyscyplinach zwanych ścisłymi, w polityce i ideologii tak po stronie socjalistycznej, jak i opozycji. Pierwszym widocznym załamaniem tego trendu był rok 1968. Wydarzenia marcowe były (wybaczenie określenie, ale mam pewne prawo do niego) brzydką wysypką ujawniającą zmiany głębsze, zachodzące w mentalności społecznej, zmiany — jak bywa w takich sytuacjach — trudne do rozwarstwienia na składowe polityczne, ekonomiczne, wy-

wolane obcą lub własną interwencją propagandową. Wtedy po długim, jak na Polskę, okresie posiadania wspólnego języka (mimo drastycznych różnic w „dialektach” i „gwarach”) nasza rzeczywistość zaczęła zapadać na nieczytalność.

Odczuwam pokusę pociągnięcia jeszcze wątku poetyckiego. Ze własnie „poeci pierwsi czują trupa”, że należy wczytywać się w poezję, aby dostrzec grożące nam niebezpieczeństwa społeczne, kłeski politycznego urodzaju itd. Cóż, mógłbym to napisać, ale spacyłem sobie umysł pewnymi lekturami i studiami i ni-jak nie potrafię skutku brać za przyczynę. Choćbym nawet miał dowody, że nie zawsze klasyczne wy-nikanie czy dialektyczna impli-kacja da się zastosować do żywiołu społecznego, do naszego życia.

Coś w tym jednak jest, gdyż poezja tak pilnie, żywotnie towarzy-sząca naszemu życiu, losom, od lat dziesiątka bez mała jest jakby nie-obecna w tym miejscu. Ostatnio na-wet materialnie zajmuje o wiele mniejszą powierzchnię na kartkach zaczerpniętych — co tydzień, co miesiąc i jeszcze rzadziej — dru-karską farbą.

Myślę, że znajdujemy się w fa-zie przekształcania mental-ności społecznej. Jego strona ekono-miczna, polityczna jest niezwy-kle spektakularna. A intelektualna, duchowa? Nieczytalna tak, jak nieczytalne będzie porozumienie, jeśli by za podstawę posiadało z jednej strony jedynie obronę przed osta-tcznym zagrożeniem, a z drugiej — słalom przed zagrożeniami co-dzienności: biedą, pijaństwem, nie-róbstwem i setką naszych plag na-rodowych.

A może to wszystko, co piszę o nieczytalności poezji jest zwyca-jnie wynikiem tego, że się zesta-rzał i niedowidzę już, jak płonie w umysłach naszej młodzieży błękitny głód świata, a książeczki i stroni-ce z wierszami, z wszelką poezją (to metafora oczywiście, panie cen-zorze) zalegają biblioteki, księgarnie, półki z książkami i jęczą ze zmęczenia (to także przenośnia) od ciągłego ich zaczytywania?

Jednego tylko jestem pewien. Czytalność to wypadkowa umiejęt-ności czytania i treści tekstu. I jak w geometrii — wiadomo, kiedy wy-padkowa jest mała.

ZYCIE TOWARZYSKIE

IAN KWASOWSKI

przy otwartej
kurtynie

Przestałem zapraszać do siebie, bo prawdę powiedziawszy trochę wstyd. Sufity w mieszkańiu wyraźnie poszarzały, łuszczy się farba z ram okiennych, drzwi — wskutek długotrwałej suszy — nie domykają się. Próbowałem złu jakoś zaradzić, jednak margaryna, której od paru miesięcy pod dostatkiem i to bez kartek, nie za-bardzo nadaje się do zalepiania u-bytków w ścianach i stolarcze, farb-zaś ani wapna nie ma w sprzedaży.

Więcej teraz czasu spędzam na powietrzu, już to w samotności, już to na dyskusjach ze znajomymi. Jak się tak niespiesznie przemierza miasto w kilka osób, nie myśląc je-szcze o jesiennych szarugach, spo-ro rzeczy i zjawisk ciekawych moż-na zobaczyć. Na przykład, że prze-żywamy prawdziwy boom remonto-wy. Ma się rozumieć, w gospodarce uspołecznionej. Obiekt poddany rewaloryzacji poznaje się nie po tym, że kręca się wewnątrz i na zewnątrz murarze, tynkarze oraz liczni przedstawiciele innych zawo-dów wymieniani codziennie jednym tchem w rubrykach: „Pracownicy poszukiwani”, ale po zamalowa-nych na biało szybach.

— Czy to nie dziwne — zastano-

wił się w czasie jednej ze wspól-nych przechadzek pan Albin, kie-rowca drugiej kategorii — pomimo niedostępności materiałów, które dawałyby kolor biały, nie się w przyzwyczajeniach remontowych nie zmieniło?

Nie uzyskawszy potwierdzenia, ciągnął:

— Nie spotkałem jeszcze w ostat-nich latach wystawy, zamalowanej na ciemny fiolet czy zgnilą zie-leń. Jak wiadomo, są to kolory, któ-re mimo ciężkiego kryzysu oferuje się ludności bez żadnych zgola o-graniczeń.

Przechodziliśmy akurat koło pa-wilonu, otwartego przed półtora rokiem, który błyskał teraz ku nam bielkami okien. Pan Albin wstrzy-mał mnie ruchem ręki, przybliżył się na metr i zaczął sylabizować napisy, wydrapane w białej farbie.

— Przydałoby się wielkie lustro — powiedziałem, gdyż posłanie bry-gady remontowej było, jak zwykle, sporządzone na wewnętrznej stro-nie szyb. Ja zadowolilem się war-stwą plastyczną, miałem w związku z tym mniej trudności, a przy-jemność większą.

— Nie ma politycznych — ode-tchnął pan Albin po zakończeniu

lektury. — Choć, trzeba powiedzieć, że większość niecenzuralna.

Jeszcze za czasów studenckich zastanawiałem się niekiedy, po co remontowcy, nim zabiorą się do roboty, najpierw zamalowują okna. Co dziwniejsze, nigdy o tym nie za-pominają, choć i wtedy, i teraz zda-rza się im przeoczyć, co w końcu rzecz ludzka, a to załany sufit, zar-dzewiałe rury. Zamazywania okien nie wymaga ani projekt czy kosz-torys, ani kierownictwo. Wówczas, a było to grubo przed uchwaleniem programów oszczędności-inflacyj-nych, dochodziłem do wniosku, że odżałowują trochę farby czy wap-na i pół godziny wysiłku po prostu z dobrego serca, aby mnie, stu-dentowi, umożliwić dorobienie do stypendium przy zmywaniu, jak się remont zakończy.

— Nie masz racji — powiedział pan Albin po namyśle — Moim zdaniem zamalowuje się po to, by nie gorszyć gawiedzi, która zaraz by się zbiegła.

— No, nie — zaoponowałem. — Nie wolno remontowców podejrze-wać, że już z góry mają zamiar obijać się, rznąć w karty i pić, dla-tego już na samym początku od-gradzają się od ulicy białym, nie-przezroczystym parawanem. Prze-

ciwnie, im chodzi o to, by jakieś seksblondynki, spacerujące po tro-tuarze w oczekiwaniu na następne wybory miss Polonii (dziennikarze warszawscy twierdzą, że tym ra-zem przerwa będzie krótsza niż ćwierć wieku) — nie odciagały wzroku i myśli od solidnego, termi-nowego wykonania remontu.

Pan Albin stuknął się w czoło, jakby coś sobie przypomniał:

— Ty jesteś felietonista, a zatem facet nietypowy. Uwierzyć mi jednak, że tak naprawdę nikt nie lubi wy-stawiać się na widok publiczny, pracować czy obijać się niejako przy otwartej kurtynie. Choćby nie-wiem jak głęboko i często mówiło się o jawności życia.

— Przepraszam, a rząd?

Myślałem już, że tym argumentem go załamie.

— Przyzwyczajenia ludzkie są sil-niejsze od praw kryzysu — ciągnął sentencjonalnie. — Materiały, po-trzebne do zamalowania, można by odsprzedać z zyskiem ludności, któ-ra nie ma czym chałup pobielić. Tymczasem, jak widzisz, tradycja remontowa zwyciężyła nawet pra-gnienie zysku.

JAN KWASOWSKI



POLANSKI

refleksje



Jan Wałach

Podobno stary Sabala miał kiedyś zapytać równie leciwego Witkiewicza: — Panie, żeby jako góról, mimo wykształcenia w mieście, pozostać nadal górólem. powiedz, jak to zrobić?

Mocno zadumał się twórca zakopiańskiego stylu, ale... odpowiedź nie znalazł. Toteż tylko niewykształceni chłopcy — chłopami pozostali. „Chłopomania” mieszcuchów nie zmieniła do gruntu ani Tetmajera, ani Lucjana Rydla, chociaż po Krakowie chadzał bosy, z koszulą na wypust i chłopskim przepasaną powrósem.

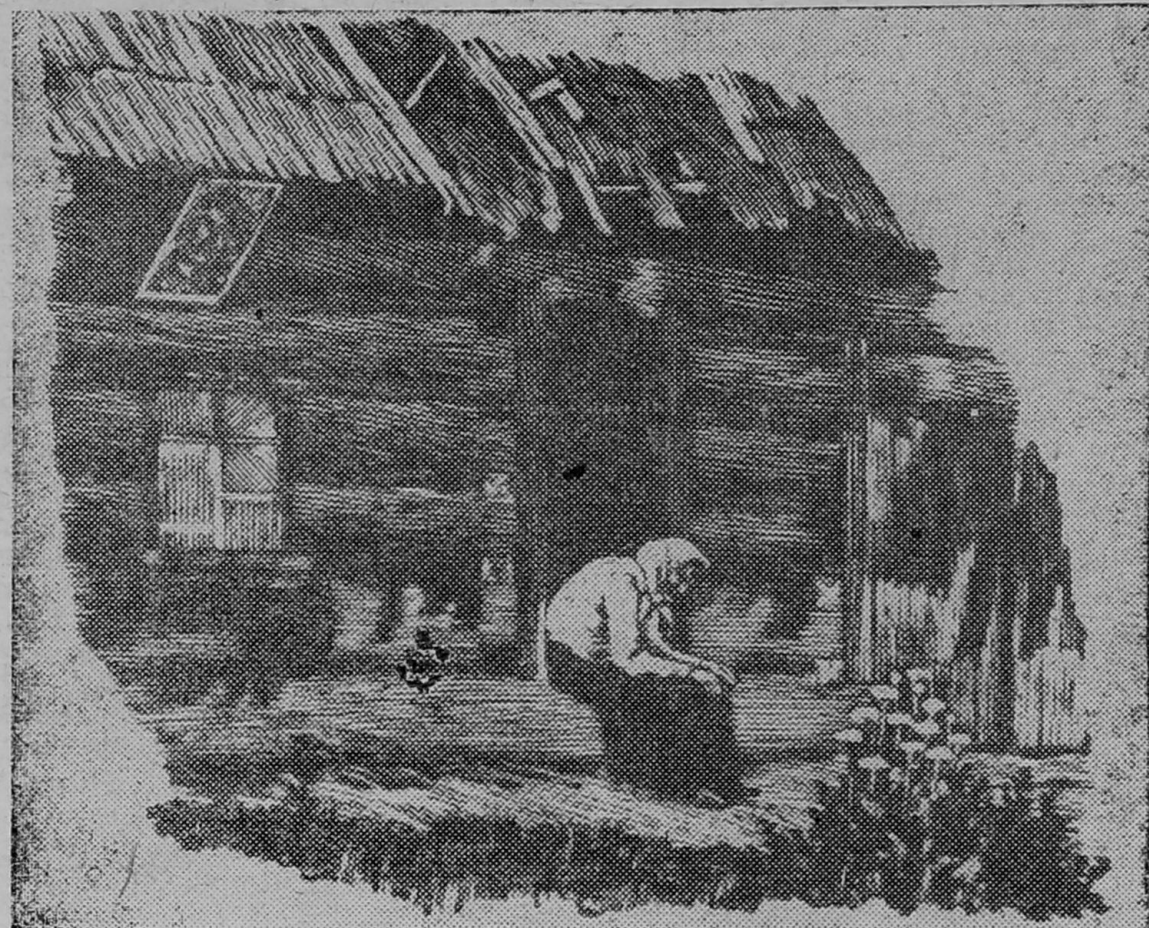
Ale... znalazł się taki jedynak. Studiował malarstwo w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jako stypendysta otarł się o Beaux Arts w Paryżu. Wysłano go nawet do słonecznych Włoch — a jednak nie zapomniał hał malowanych zieleni, jodeł ani smreków. Nie zapomniał Baraniej Góry ani wyniosłej Jaworzynki. Tesknął za szalasami juhasów, snłł o bajaniu baczów, brakło mu tęczy, zagród owiec góralskich. Wśród cudów fascynującego świata, nieżyjący już Jan Wałach, malarz i drzeworytnik wciąż tęsknił za wierchami i ruiną zawsze zielonych Beskidów Śląskich. Tam wśród mglistych szarotek i gwarnych szalasów było serce jego ukochania bez granic. Hań krzątała się Kasia, serce jego serca i dusza jego duszy, prosta niewykształcona dziewczyna, jak anioł słodka, a jak limba mocna. Więc rwał się do niej duchem, pisał listy co tydzień, codziennie tęsknotą ją otulał i serdecznością niezmienną. Po latach powrócił do wierchów syn gór i zaślubił córę granl białych wśród muzy-

ki sosen i jałowców. Europejsko wykształcony artysta do końca pozostał, jak jego dziady i bracia, górólem bez skazy. Osiadł w domu ojców i malował rozutki, granaty, wodogrzmoty i turnie. Malowidłami ozdobił także swój kościół w zawsze swojej Istebnej. Nie widziałem tych fresków; profesor Herbst nie zachwycał się nimi. Bowiem nie w malarstwie Jan Wałach wyśpiewał swój góralski poemat.

Piękno gór i górali wyśpiewał w misternych drzeworytach. Ongiś urzekły one tak dra Warchołowskiego, że opublikował je w dużym wydawnictwie („Jan Wałach”), aby zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na mistrzostwo jego warsztatu. Do końca życia patronował artystcie, dzięki czemu mógł on wychować i wykształcić liczną gromadkę synów i córek. Toteż artysta wspominał go zawsze z czcią i nabożeństwem.

Raz tylko — przypadkiem — spotkałem Jana Wałacha w Krakowie; już dobrze posrebrzoną miał głowę. Ale korespondowaliśmy długo w kraju i za granicą. Każdy list po staropolsku zaczynał „pochwalonym” i — zawsze kończył staropolskim „z Bogiem”. Przysłał mi drzeworyty, a w zamian prosił tylko o nową fajeczkę i „kubański tytoń”, o japoński papier. Zawsze też pisał o szczygłach i chyżych jaskółkach, wirujących wokół jego chudoby.

Jak sam żył prosto, tak po prostu wycinał starych baczów i młodych juhasów wśród owiec na hałi, a w ręce im wkładał to fujarkę, to długą liganę, aby grali całemu światu radość i ukojenie, to znowu dziewczęta rozsadał przy



wrzecionie i kołowrotkach i płotecz-kach przy darcu pierza w długie zimowe wieczory. Nie pominął tu-dzież dziadów po prozonymu ani starej i opatulonej żebaczki. Swo-je góry zaludnił sceną lasów i stadami owiec, chałupami z jedliny i szalasami wśród granl.

W szaleństwie XX stulecia pozostał wierny precyzji dziewiętnasto-wiecznego warsztatu. Drzeworyty wykonywał starannie i z finezją wysubtelnionej kreski w formie wi-niet, jakie możemy zauważyć w sta-rociach „Tygodnika Ilustrowanego”, lub w formie majestatycznych por-tretów. Grupy młodzieży w tańcu i całe rodziny na weselach, podczas hucznych biesiad. Ostatni „Artysta-Górol”, udokumentował potomości ostatki góralszczyzny, która już zamarła.

Szkoda. Z dziesiątków odbitek tylko ten jeden, jedyny fragment mi się zachował. Przedstawiła sła-dzącą babinę przed chatyną góralską. Ale jeśli dobrze przyjrzymy się tej ilustracji, sczytujemy w niej i proces twórczy, i intymność warsztatu. Właśnie dlatego chodził ze szkicownikami po granicach i po ha-lach, wspinał się na wierchy, aby

nie ominąć żadnego szczegółu ty-cia; zaglądał do chatynek, by ry-sunkiem ginąca podpatrzeć rzeczy-wistość.

Drzeworyty Jana Wałacha nie są tworam wyobraźni. Wynikają z precyzji podglądającego oka. Na podstawie tych studiów-artysta wycinał z najwyższą starannością každy szczegół. Nie możemy zaliczyć go w poczet inicjatorów twórczych. A jednak, jak „zaglądamy” w „Pa-nu Tadeuszu” i „Chłopach” do nieistniejących już rzeczywistości tak w drzeworytach Jana Wałacha o-trzymujemy pełną dokumentację nieistniejącej już góralszczyzny. Właśnie w tym tkwi ogólnopolska wartość jego artystycznej spuścizny.

Toteż któryś z instytutów wdaw-niczych („Arkady” lub WAF) — z racji wysoce patriotyczno-folklorystycznej rangi — powinien co prędzej zwrócić się do rodziny zmarle-go i pozbiierać wszystkie deski oraz ręką artysty podpisane odbitki drzeworytnicze w celu utrwalenia tej dokume-acji Śląskich Beskidów, przedstawionych wiernie przez „Górola-Artystę”

AL GOL

prezentacja

Ordynat Michorowski

Helenu Mniszek

19

Jakieś nowe, niesłychane misterium upoiste, na uroczych pasmach światłości spłynęło do duszy, mogłoby rozbudzić z odrętwienia te struny czarodziejskie, śpiące w bolesnym letargu. Jeśli nie były zabite huraganem, co zgłuszył ich śpiew. Jeśli w szarpaniu się tragicznym nie zginęły bez ratunku. Jeśli nie uległy wiekulemu snowi!

Dotąd w zaniku swym trwały. Pajęcze pęta świadomości uczuć. Luci nie były twórczą pobudką: niepokoiły — nie budząc. Zamknięta świętość w duszy ordynata, nie skazyła swej boskości. Dogmat, zawarty w niej, palił się tym samym ogniem ofiarnym na stosie świętych kwiatów przeszłości. I pachniały lilie przeżytych uczuć. I dym wonnych kadzideł zjawisk prześlonych nie rozplynał się w zapomnieniu.

Ekstaza przeszła w wizję nieziemską i palala jaśnią. Żadna iskra nie struchlała, nie było popiołów. W świątyni jego miłości, szemrał ten sam szept modlitewny drogi ust kapłanki i bielala zawsze w tajemniczych półcieniach ubóstwiona jej postać.

Nawala nowych wrażeń nie potrafiła zwać tego jedyne obrazu, który czas wlałabiał tylko głębiej w skrwawione serce.

Więc odczuć egzaltowanej miłości Luci Waldemar nie mógł i nie starał się. Same pragnienie uważałby za świętokradztwo.

Ale miał dla Luci głęboką litość, współczuł jej jak zranionej siostrze. Chciał ją ratować, lecz widział, że wszelkie usiłowania na nic. Męczyło go to niewymownie. Odgadywał skryte zamiary dziadka i wzburzały go. Gniótł w sobie niechęć, która często z dziką pasją występowała przeciw Luci. Bunt obrażonej duszy, gniew i sztyderstwo wypelzało coraz jawniej. Szaloną wolą opanowywał zgrzyt wewnętrzny, ale przeczuwał, że pomimo wysiłków może wybuchnąć brutalnie.

Podniecając się przykrą rozterką duchową szedł ociężale przez ciche, zaśniewione ulice Alei Ujazdowskich, schowany prawie w cieniu drzew. Gdzieś w pobliżu Łazienek usiadł zamyślony na ławce. Wspomnienie nagłe uderzyło go złotym i bolesnym biczem.

Zadrzał. W przymkniętych oczach rozsnuł się śnieżny, lecz ciepły wieczór marcowy. Blask latarni migocze wśród drzew tych samych Alei. Jest jakoś dziwnie słodko i dziwnie muzykalnie. Drobne płatki śniegu spływają sennie i topnieją na futrzanym kołpaczku siedzącej na wprost niego kobiety. Jadą razem środkiem Alei w odkrytym landzie. Obok niej starszka, matrona, patrzy na ulicę, a oni oboje utopili chciwy wzrok w swych źrenicach rozmiłowanych i piją, piją bezdenny czar, piją zachwyt własnych serc, piją aż do zawrotu głowy. Powóz niesie lekko jakby na puchach labędzych, słysząc jedynie rytmiczny stuk kopyt na drewnianym bruku, lecz i to ma swą wyłączną melodię. Jadą, zda się, w nieskończoność. On w swoich dłońach ma jej ręce, które sam obnażył z rękawiczek i tuli pieściwie. Postać jej widzi w blaskach lamp, taką ukochaną, taką oddaną mu, jedyną.

Kiedy niekiedy słowo jakieś ciche, a potężne w swym znaczeniu, prze-

Ordynat widział rozbawioną twarz Bodzia, patrzył na zalotne uśmieški primabaleriny, ale nie słyszał słów. Od czasu do czasu jakiś dowcip wywoływał tam burzę śmiechu, piękna dama ognistej błysnęła oczyma lub też robiła skromną, niewinną minkę, a Bodzio zawiadacko zaglądał jej w twarz.

— Patrz pan, jak to germańskie bydlatko obnażyło się — mówił jeden z panów przy stoliku obok loży.

Wskazał na kłaniającą się szansonistkę.

— Za co jej brawo dają? — rzekł drugi. — Ma głos ciężki, jak jej narodowa kielbasa z grochem.

— Ale za to kształty jak z ciosanego marmuru: nogi albo biust...

— Et! Jaki tam marmur! Piaskowiec pobielony wapnem. Wszystko to, panie, rozlaże, tylko szkiele jak nadreńskiego mamuta. Albo to wykute w ogniu temperamentu? Ot sobie, żaba: to nie węgierska krew!

Na estradę weszło pięć półnagich dziewcząt, rozpoczął się chór i tańce.

— Patrz pan! Wystawa kobieciny.

— Co za „kobieciny”?

— Ano, ciała. Tak jak cielęcina, gęsiina, tak tu masz pan kobiecinę w podkaszanych gazach. Ekspertów nie brakuje. Niech pan spojrzysz na Michorowskiego.

Ordynat drgnął.

Panowie patrzyli na Bohdana, który pożerał oczyma pełne ciała szansonistek.

— Uważa pan, jaki łakomy? Jedną sobie zaangażował, i dobry kasek, a na te się obliżuje. Jak tak długo pofruwa na tych ziółeczkach, to mu skrzydełka opadną.

— Nic mu, panie, nie będzie! Rasa wypróbowała! A ordynat głębowicki: mało używał? Jednak zawsze zuch.

— No, nie bardzo. Jakoś się nie żeni.

— To z innych powodów. Zresztą podobno żeni się z jakąś kuzynką. Ten młodzik gotów mu pół fortuny przepuści.

— Ordynat się nim opiekuje, ale widać niezbyt gorliwie, skoro ten tak używa na primabalerinach.

Waldemar za swoją firanką był pod przykrym uczuciem obawy, by go nie dostreżono. Zasunął się głębiej.

Na estradzie zmieniały się śpiewy na sprośne tańce, na monologi swobodnych białeństw. Jakiś Murzyn wykrzykiwał głosem zarzynanego koguta, produkując sztuki magiczne.

Sala wypełniła się chmurą dymu. Panował gwar ożywionych rozmów, strzelały śmiechy, dowcipy i szampan. Śpiewaczki i tancerki weszły na salę, zmieszały się z publiką. Jakiś chłopak obnosił w wielkim słoju kwiaty cięte i sprytnie trafiał tam, gdzie najczęściej płacono. Bodzio ogromny pęk róż ładnym ruchem złożył na talerzu swej towarzyszki. Tu i tam odzywały się podniecone alkoholem, gardłowe chrypienia męskie. Zabawa szła.

Waldemar myślał:

— To jednak konieczne. W naturze ludzkiej znajduje się zawsze gruczołek, zawierający zakaźny miazmat rozpusty. Tylko u jednych jest on odległy od ostrego zęba pokusy i trwa w swym zamknięciu. Nie trącony nie pęka i nie zatruwa. U innych jest w bardzo mocnym pęcherzyku, nasyconym przez etykę lub flegmatyczność krwi. Ale jest, rozdarty mniejszą czy większą siłą, wypływa i drażni. Trzeba posiadać olbrzymią twórczą moc, aby bezkarnie wypuścić go z jestestwa swego, gdy już rozciąga nad nim władztwo. (Cdn.)

KING ELVIS



Sławę Elvis Presley zdobył niemalże pierwszym występem. Król rock' and rolla otrzymał przezwisko „Pelvis” — „miednica” — bo śpiewał swe rytmiczne piosenki nieustannie ruszając biodrami. Z początku robił to bezwiednie, z tremy i dziwił się, że cała sala porusza się, wrzeszczy. Potem uczynił z tego swój *genre* i przyznał, że robi świadomie: w przeciwnym wypadku ludzie woleliby słuchać jego płyt w domu.

Elvis Aron Presley urodził się 8 stycznia 1935 roku w Tupelo, w

stanie Missisipi, w ubogiej rodzinie. Nigdy nie przypuszczał, że stanie się sławnym piosenkarzem, bożyszczem nie tylko nastolatków. Wszystko zaczęło się od tego, że pewnego dnia poszedł do amatorskiego studia „Sun Records” w Memphis, by nagrać tam ulubiony utwór matki. Płytę chciał jej podarować w dniu urodzin. I zaczęło się...

W 1955 roku spotkał pułkownika Toma Parkera, który powiedział: „Jesteś utalentowany i śpiewasz z seksem. Obu nas uczynię tak bogatymi jak hinduscy książęta”. Nie czekali zbyt długo. Po pierwszym występie w programie Eda Sullivana, firma RCA sprzedawała jednocześnie 7 singli, co było wtedy rzeczą bez precedensu. Podczas występów dochodziło nawet do demolowania sal, odwożenia ludzi do szpitali, rozbierania się do naga i omdlewania kobiet, które wpadały w dziwną ekstazę na widok swojego idola.

Milliony dolarów zarobili dzięki sprawnemu prowadzeniu Klubu Miłośników.

Z czasem zainteresowały się nim wytwórnie filmowe. Debiutancki film Elvisa „Love Me Tender” zwrócił koszty w ciągu trzech tygodni.

W 1956 Presley poszedł do wojaka. Oświadczył, że nie chce korzystać z żadnych ulg. To zjednało wielu byłych przeciwników m.in. senatorów, którzy wcześniej zabronili mu wjazdu do swoich stanów. Nie mniej Elvisowi pozwolono wynająć w pobliżu koszar dom, w którym zamieszkał z rodzicami. Jesienią tego roku zmarła matka. Miała wtedy 42 lata. Niebawem Cyganka wywróżyła mu, że jego kariera zostanie przerwana w tym samym wieku.

16 sierpnia 1977 roku radio w Memphis podało wiadomość, że w szpitalu zmarł nagle King Elvis.

Przez 23 lata swojej kariery piosenkarz zdobył 118 złotych płyt. W sumie sprzedano 400 milionów czarnych krążków z jego piosenkami. Nadal cieszy się popularnością. Przykładem są kolejne edycje płyt i nieustanne pielgrzymki do jego grobowca i pałacu „Graceland” w Memphis.

NOWA PLYTA URSZULI



Kolejnym dziewczętkiem, któremu „Budka Suflera” postanowiła pomóc w zrobieniu kariery, jest Urszula z Lublina. Głos przeciętny, uroda też, a mimo to oglądamy ją na szklanym ekranie i słuchamy jej piosenek na radiowych listach przebojów. Rodzi się zatem pytanie: Czy każda dziewczyna, która odwiedzi „Budkę Suflera” może stać się piosenkarką i to tak sławna jak Urszula z Lublina? Teoretycznie tak. Praktycznie nie, bo nie każdej jest dane, mimo nawet najlepszych warunków głosowych, mieć takiego mecenasa, jakim jest „Budka” i jej lider Romuald Lipko. W zasadzie wszystkie utwory tego utalentowanego kompozytora stały się przebojami i to jest główny atut, dzięki któremu widzimy i słyszymy Urszulę. Całości dopełniają jeszcze realizator dźwięku i aranżer, w tym wypadku sam kompozytor. Jeśli spełnione są te warunki, mamy gotowy przebój, m.in. „Dmuchawce, latawce, wiatr”, który zdobył nawet I miejsce na festiwalu w Karlsham w Szwecji. Smiem jednak twierdzić, że nagroda ta i płyta nie są sukcesami Urszuli, lecz Romualda

Lipko. W miejsce piosenkarki można podstawić 5 innych dziewcząt bez głosu i efekt będzie taki sam. Nuda! Gdyby nie aranżacje, pomysły akustyczne realizatora nagrań, pierwszej płyty długogrającej Urszuli nikt by nie kupił nawet za 25 złotych, chociaż na rynku kosztuje o 400 złotych drożej. Nie sądzę również, by LP ten ugruntował pozycję Urszuli w rodzimym show-bussinesie, mimo że pretendowała ona niegdyś do miejsca polskiej Kate Bush. Na krążku, który niedawno wydała firma „Savitor” znalazło się zaledwie kilka premierowych piosenek, reszta to znane z radia przeboje nagrane w nowej i mało ciekawej wersji.

Słuchając całości odnosi się wrażenie, że Urszula śpiewa z ogromnym znużeniem, co natychmiast udziela się słuchaczowi. Nie wysiła się tu młoda lublinianka na jakieś własne interpretacje. Ot, śpiewa, bo widocznie tak kazali. Poza „Dmuchawcami” i „Totalną himną” z głośnika wieje nudą i chłodem, dlatego też nikomu nie polecam tej płyty, mimo że bardzo lubię Urszulę K. (prywatnie).

Reprod. LESZEK CZURA

fan-club

REDAGUJE
KRZYSZTOF
KURIANIK

frunie z jego ust na jej wargi, one zaś uśmiechają się, jak stokrocie pod dotknięciem słońca i kwitną, pachną — dla niego!

Jadą tak długo, w tej ciszy anielskiej, w tej niezgłębionej rozmowie serc, w tym zapatrzeniu się w siebie. A śnieg sypie, sypie jakby okrucy gwiazd, i topnieje na tej postaci. Więc ona wchłania w siebie gwiazdy? Z tyłu promieni drobniusich tworzy się jedna gwiazda, przejasna, aerolit cudowny, złotolita gwiazdka: jest nią — ona sama. I promienieje, sieje dokoła oślepiające strumienie blasków. Na niego spada najdrogocenniejszy, niewysłowny, piękny — i uderza go.

O wspomnienie niebiańskie! O śnie, śnie nigdy nie powrotny!

Ordynat podniósł powieki. Śnieg sypie, sypie, jak w marzeniu, co uleciało w mroźny przetwórczy błyszczał latarnie, jęczą dzwonki rozpędzonych sanek. Wszystko tak, jak wtedy, tylko smutek czarny lał tu bezkarnie, depte po duszy, naigrawa się z marzeń. Podły twór! Nie zawrze szyderczej paszczki, nie odwróci ślepi uragiliwych. Żyje i mnoży swe plugawe potomstwo i karmi je żalobą ludzką. Wszędzie go tu pełno. Łapy swe chydne rozciąga od brzegu w brzeg i ziele z pyska nędzą na tych, co tu... wspominać chcą.

Podły twór!

Ordynat wzdygnął się. Wstał i zgarbiony, jakby cały ogrom smutku dźwigał na swych barkach, poszedł wolno w stronę miasta. Rękę schowaną w kieszeni futra zacisnął ze strasznym bólem.

— I oni chcą mnie?! — warknęły jego usta równie wściekle, jak żałośnie.

Pogarda drgnęła mu w żrenicach.

XXVIII

Na placu Trzech Krzyży ordynat nagle stanął. W jadących obok strojnych sankach ujrzał Bohdana z bardzo piękną damą. Była to znana primabalerina.

Bodzio w czapeczce fokowej na zgrabnej głowie, pochylony do swej towarzyszk, mówił coś ogniste i z gestykulacją. Oczy mu błyszczały namiętnym płomieniem. Tak był zapatrzonej w swoje cudo baletowe, że nie spostrzegł wcale ordynata.

Sanki z chrzęstem, z brzękiem sutych janczarów, z parsaniem pysznych koni, przemknęły pędem, wlokąc po bokach końce bogatej siatki, która obficie spadała z koni aż na śnieg. Zadzwończyły o bruk haciele podków, trysły iskry, zaszumiały pióropusze i zaprzęg pomknął szumnie ku Nowemu Światu.

— Używa stolicy — uśmiechnął się ordynat.

Własna miłość stanęła mu w myśli, tak samo zapalna i bujna.

— Dokąd ją wiezie? — zaniepokoił się.

Skinął na sanki i kazał ostro jechać.

Wychylony lekko spoza pleców dorożkarza widział w oddali jadącą parę. Światły kapelusz damy i czapka Bodzia pochylały się ku sobie. Nareszcie stanęli przed domem, gdzie mieścił się znany kabaret. Ordynat kazał zwolnić. Mijał Bodzia, sunąc stępą po świetlistym od lamp elektrycznych szlaku.

Bodzio z wdziękiem pomógł wysiąść swej damie, i razem weszli do środka gmachu, powitani głębokim ukłonem szwajcara. Sanki nie opłacone, w oczekiwaniu stanęły opodal.

Waldemar usłyszał jeszcze rażny głos stangreta remizowego do stojących dorożkarzy.

— Będzie czekał do rana nim się tam oni nacieszą; dadzą się człowiekowi wypaść.

Zaczął się pakować do środka sań okrywając nogi futrem. Ordynat pojechał dalej.



Na estradzie w sali rześcicie oświetlonej śpiewała drastyczne kuplety młoda Niemeczka. Obcisła suknia, naszyta świecidlami, okrywała ją prawie od pasa do kolan, przy których burzyły się falbany gazowe. Ruchy i wyraz twarzy miała cyniczne. Zmysłowo błyskała dużymi zębami spoza grubych, ukarmionych warg. Oczyma uplastyczniała strofki śpiewek bezwstydných.

Bohdan ze swą towarzyszką usiedli przy stoliku blisko estrady. Podsunęło się do nich dwóch znajomych młodzieńców, sławnych turystów zakulisowych. Bohdan zaprosił ich do kolacji. Rozpoczęła się zabawa.

W jednej z bocznych łóż, ukryty za firanką, Waldemar Michorowski z daleka przyglądał się kuzynowi. Prawie tuż obok łóż, na sali, przy stoliku, siedziało dwóch mężczyzn, rozmawiając z sobą dość głośno.

kotlety
mielone

Niedużą główkę kapusty (ok. 1 kg) oczyścić, opłukać, pokrajać na części, zalać wrzącą wodą i ugotować w odkrytym naczyniu na silnym ogniu. Kapustę odcedzić, ostudzić, silnie odcisnąć w ściereczce. 60 dkg mięsa wieprzowego opłukać, zemieć z kapustą w maszynce z drobnym sitkiem. Do masy mięsnej dodać 5 dkg cebuli (wcześniej przesmażonej z tłuszczem), jedno jajko, trochę soli, pieprzu do smaku i starannie wyrobić. Masę podzielić na równe porcje, wyrobić z nich w bulce tartej kształtne okrągłe lub owalne kotlety. Rozgrzać tłuszcz i smażyć z obydwu stron na niezbyt silnym ogniu. Podawać z ziemniakami i ostrą surówką lub sałatką.

kwaszonka

2-3 główki czerwonej kapusty (ok. 5 kg) obrać z nadpsutych i uszkodzonych liści, umyć i bardzo cienko poszatkować; głąb, grube nerwy liściowe i kilka kwaśnych jabłek zetrzeć na tarce o dużych otworach. Wszystko razem wymieszać z dodaną solą (w ilości ok. 10 dkg) i płaską łyżeczką nasion kopru. Kamienny garnek umyty gorącą wodą z mydłem starannie wypłukać i wyparzyć. Układać kapustę w garnku ubijając, aby nie powstało wolne przestrzenie. Przykryć płatem lnianego płótna, na wierzch ułożyć talerzyk, który należy obciążyć. Po kilku dniach kapusta będzie zakwaszona i gotowa do podania jako uniwersalna surówka do wszystkich posiłków. Kwaszonkę przed podaniem można przyprawić cukrem, oliwą, olejem lub majonezem. Przechowywać w pomieszczeniu chłodnym i przewiewnym.

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

CZAS
mechaniczny

Pierwsze zegary mechaniczne powstały w trzynastym wieku, choć niektóre źródła podają, że już w połowie IX w. włoski ksiądz Pacificus skonstruował zegar napędzany ciężarkiem. Od roku 1232 do

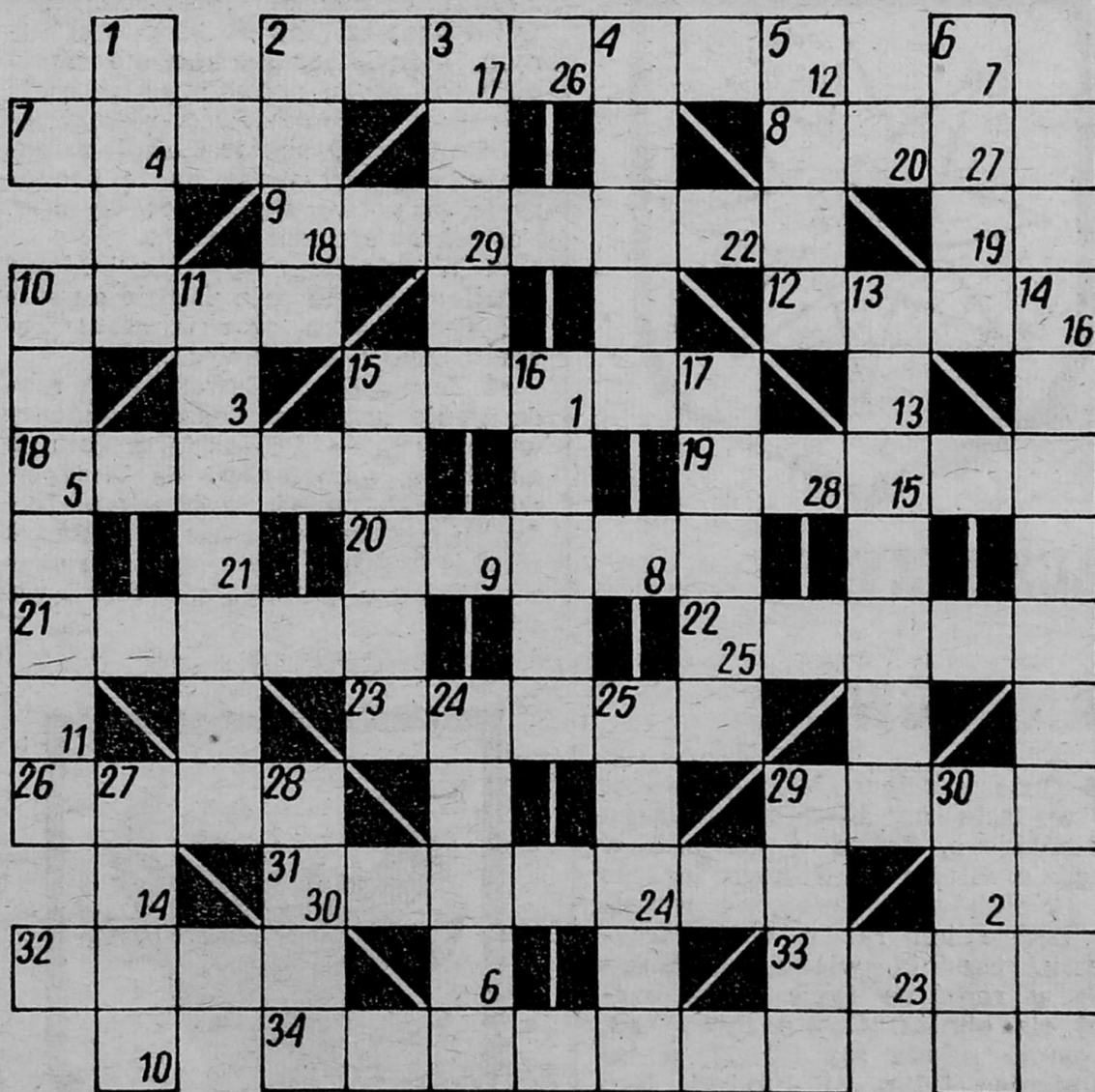
1370 zbudowano trzydzieści dziewięć zegarów, ale nie wszystkie były pełnowartościowymi czasomierzami. Większość z nich to zegary publiczne, zwykle umieszczane na wieżach kościołów lub klasztorów, dookoła których skupiało się życie miast. Około roku 1500 większość miast posiadała zegary wieżowe.

Ich wyrób — nawet tak dużych i prymitywnych, jakimi były najwcześniejsze urządzenia — wymagał większej dokładności niż jakakolwiek inna maszyna. Toteż postęp techniczny wiele zawdzięcza ówczesnym zegarmistrzom, których osiągnięcia przyjęli wykonawcy innych urządzeń.

suknia
ślubna
z
pajęczyny

Pajak krzyżak potrafi w ciągu dziewięciu, dziesięciu dni wyprodukować włókienko długości dwóch kilometrów. Użytkowanie przedpajęcznej interesowało ludzi od dawna. Na początku XVIII wieku długo nad tym pracował pewien Francuz. Nieco później jeden z mnichów hiszpańskich — po trzydziestu latach mozolnych starań — uzyskał przeszło pół kilograma „jedwabiu” pajęczego. Skonstruował madelko, w którym osadzał pajaka. Były to dwa kawałeczki korka z wyłobieniami pasującymi akurat do przewężenia, jakie pajak posiada między głowotulą a odwłokiem. Tak skrepowany krzyżak wyglądał jak chiński wiezień sprzed dwustu lat, któremu szyć wkładano między dwie zastrubowane kłody. Mnich trzymał przed nim muchę, co pobudzało biednego jeńcę do produkcji nitki; tę zaczepiał na małym kołowrotku i nawijał w miarę wysuwania się z kądziołek pajęczych.

W końcu zeszłego stulecia na wystawie w Paryżu wystawiono suknię ślubną, na którą cały materiał wyprodukował pajak. Koszt przedpajęcznej wyniósł ponad 2 tysiące franków, właśnie tyle wydatkowała wówczas na życie średnio zamożna rodzina w ciągu kwartału.

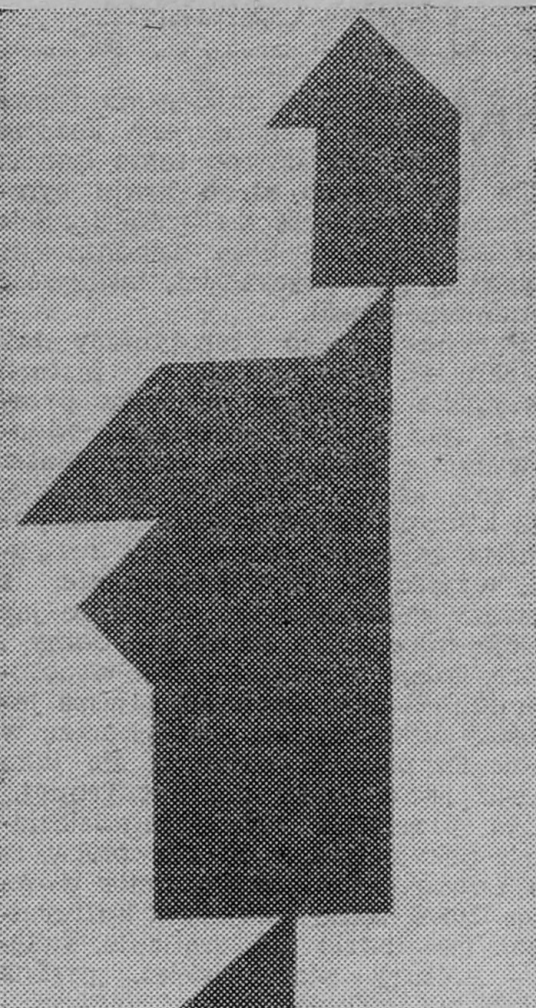


Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krątek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 30, utworzą przysłowie pigmejskie.

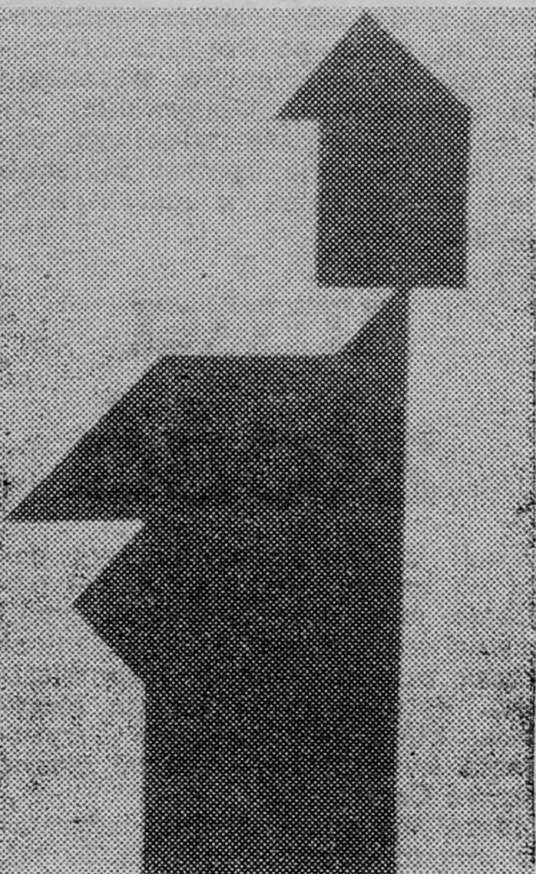
POZIOMO: 2) drzewo liściaste, 7) coś ze zbóż, 8) relacja, opisanie, 9) figura geometryczna, 10) wielkość, mnogość, mnóstwo, 12) glon, 15) krzew śródziemnomorski, którego pączki kwiatowe służą jako przyprawa do potraw, 18) jezioro przybrzeżne na Wybrzeżu Słowińskim, 19) 21 w kartach, 20) wódz Wielkiej Rewolucji Październikowej, 21) taniec rodem z Argentyny, 22) Zakłady Radiowe z Dzierżoniowa, 23) gromada zwierząt danego gatunku, 26) legendarny założyciel Krakowa, 29) układ, 31) wytwarza żółć, 32) wynagrodzenie, pensja, 33) poprzeczna, dolna część futryny drzewiowej, wyższa od poziomu podłogi, 34) Polak starej daty.

PIONOWO: 1) sołtysianka z 27 kwietnia, 2) znak wysokościowy na mapie, 3) surowce rymarskie, 4) jednoroczna roślina z rodziny dyniowatych, 5) ocena, 6) zbiór liczb uporządkowanych wg pewnego prawda, 10) dobytek, mienie, 11) pomadka do ust, 13) portugalska metropolia, 14) człowiek zuchwały, bezczelny, 15) olbrzym, 16) drzewo iglaste z rodziny sosnowatych, 17) brzeg kapelusza okalający jego główkę, 24) potrawa nie dla jaroza, 25) szlak komunikacyjny, 27) słynny klub sportowy z Madrytu, 28) solny, siarkowy lub azotowy, 29) materiał dekarcki, 30) monarcha.

(HCL)
Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.



TANGRAM



Kwadrat rozcięty na siedem części, z których można ułożyć tysiące, dziesiątki tysięcy najróżniejszych figur i kształtów: obok prostych geometrycznych, również uproszczone, choć podobne do swych wzorców: fajkę, czapkę, kowadło i młotek, kota i rybę, strusia i kangura, a także Napoleona i siedzącego Indianina. Gdy ktoś się szczególnie uprzą, może ułożyć kolejno wszystkich członków orkiestry symfonicznej z właściwymi instrumentami.

Za wynalazcę tangramu podawał się w ubiegłym stuleciu niemiecki autor książek o grach i lamigłówkach, Sophus Tromholt, nazywając po swojemu „yum-yum”.

Tangram narodził się w Chinach niemal cztery tysiące lat temu. Legenda głosi, że sprytnie rozcięcie kwadratu na osiem części wymyślił uczony Tang. Lamigłówka służyła mu jako pomoc naukowa do demonstracji różnych figur przy nauczaniu geometrii. Przez wiele lat w Chinach układanie figur tangramu było częścią egzaminu na mandaryna. Kandydaci na urzędników układali figury według podanego wzoru oraz z wyobraźni (kobieta z chustką, kobietę przed lustrem, młodą dziewczynę). Do ułożenia każdej z nich należało zużyć wszystkie siedem części.

Choć kompendiów tangramu ukazało się setki, to najpełniejsze pozostało właściwie nieznane. Amerykanin Challenor, który studiował problemy i historię tej lamigłówki, spędził w Chinach czterdzieści lat w poszukiwaniu siedmiu ksiąg wzorów tangramu, ułożonych w pierwszych latach istnienia tej lamigłówki. Udało mu się obejrzeć kopie tomu pierwszego i siódmego oraz fragmenty drugiego. Pewien angielski żołnierz znalazł na jednym ze śmietników w Szanghaju kilka cienkich kart skórzanych z wyklejonymi dziwnymi, geometrycznymi figurami ze złotych blaszek. Swoje znalezisko sprzedał za 300 funtów jakiemuś bogatemu Chińczykowi. I do dziś nikt już więcej starożytnych ksiąg o tangramie na oczy nie widział.

stragan pod trzynastką



...I SPRAW, ŻEBY
PRZYŚNIŁO MI SIĘ
COŚ TAKIEGO, CO
MOGŁABYM BEZ,
TRUDU ZNALEŹĆ
W SENNIKU



CIASTKA W SNIEŻNYM PEJZAŻU

Dlaczego ludzie śnią? Jak to wyjaśnić, że dziś śnią im się te same symbole, które według starożytnych badaczy marzeń sennych pojawiały się w snach człowieka przed tysiącami lat? Czy można na podstawie snu przepowiadać przyszłość?

Nie ma ciągle ostatecznej odpowiedzi na te pytania, ale nowożytni psychologowie — poczynając od Freuda, Adlera Junga, Stekela — żeby wymienić tylko najslawniejszych — stwierdzili, że treść snów ma ogromną wagę przy opisywaniu anamnezy i psychicznej kondycji jednostki. Powstało wiele naukowych dzieł na ten temat. Wydano leksykony symboli sennych z ich szczegółową, współczesną interpretacją, która, co ciekawe, jest ogromnie zbliżona do interpretacji zawartej w historycznych przekazach greckich czy egipskich. Jednym słowem nie należy lekceważyć informacji zawartej w marzeniu sennej. Dlatego też prowadząc tę rubrykę liczymy, że po otrzymaniu odpowiedzi Czytelnicy zechcą ponownie napisać, jak przyjęli przekazaną interpretację i jak się ona zrealizowała w ich następnych życiowych doświadczeniach?

Pani Barbara z Białegostoku napisała: „Zwykle bardzo niewiele pamiętam, w kilka chwil po prze-

budzeniu wspomnienie tego, co śniłam, zacierają się i ginie bez śladu. Jednak ostatniej nocy sen był tak wyraźny, że zanotowałam fragmenty, które najlepiej utrwaliła moja pamięć. Oto szłam przez zaśnieżony, piękny las i rozległą przestrzeń przykrytą grubymi zaspami. Potem znajdowałam się na szczycie wieży, czy też nad jej szczytem. Wreszcie niosłam talerz z kromkami chleba i ciastkami pełnymi słodkiego kremu, a na koniec złożyłam wizytę swoim ciotkom. Te obrazy następowały jeden po drugim bez żadnego związku. Który z nich ma dla mnie jakieś znaczenie?”

Pani Barbaro, śnieżny krajobraz oznacza dla śniącego miły i przytulny dom, wieża — odwagę, posunięcie, chleb — oddanych przyjaciół, słodkie ciastka — postęp w każdej dziedzinie życia, natomiast ciotki — jeśli są siostrami ojca — zapowiadają przyjemne spotkanie towarzyskie, a finansowe bezpieczeństwo — jeśli to ciotki po kądzieli. Jak z tej interpretacji wynika — tylko z pozoru były to symbole nie powiązane. Znajac natomiast ich znaczenie odkrywamy ścisły związek, który upoważnia do przyjemnych przewidywań przyszłości tak życia domowego, jak i towarzyskiego. Prosimy napisać, czy zapowiedź spełniła się?

Ledwo doktor Huxley wydał swemu medium polecenie, kiedy plachta w oknie zajaśniała i ukazała się na niej sylwetka ludzkiej postaci.

Takie samo zjawisko zaobserwowali wszyscy zebrani w mieszkaniu medium. W ten sposób udowodniono, że ciało astralne medium rzeczywiście usłuchało polecenia lekarza i udało się do mieszkania, gdzie czekała reszta uczonych. Takie samo doświadczenie doktor Huxley przeprowadził kilkakrotnie z różnymi mediami, w różnych miejscach i w obecności różnych osób. Wyniki zawsze były takie same.

Lecz to nie wszystko. Doktor Huxley przeprowadził także i inne doświadczenia. I tak na przykład wprowadził w sen somnambuliczny 120 osób i polecił im ciałom astralnym szukać w mieszkaniach znanych uczonych. Wcześniej doktor Huxley uzgodnił ze swymi kolegami, jaki to ma być rodzaj stukania. Ciała astralne stuknęły w umówiony sposób.

Na koniec dr Huxley przeprowadził jeszcze jedno bardzo interesujące doświadczenie. Skorzystał przy tym z pomocy swego kolegi, również lekarza, który równocześnie był jasnowidzem. Udał się wraz z nim do pokoju w szpitalu, gdzie leżał ciężko chory człowiek w stanie agonii. Łóżko konającego stało w małym pokoju, gdzie poza pacjentem i dwoma lekarzami nie było więcej nikogo. Oświetlenie na suficie wyłączono i tylko lampka pomocnicza u wezgłowia łóżka dawała słaby odblask.

Mijały godziny pełne napięcia. Obaj lekarze nie spuszczała oka z konającego. Ten zaś jęczał przez sen, był niespokojny i z trudem od-

HOROSKOP

SZEF RYBA (19.02.—20.03.)

W roli dyrektora to rzadkość. Bywa, że Ryby na ważnych stanowiskach są nie do zastąpienia, lecz na pozycjach szczytowych — to coś w rodzaju białego nosorożca. Wynika to z faktu, że dzisiejsze życie nie jest w guście Ryb — brakuje im rozmachu i pewnej bezwzględności w twardej walce o przetrwanie. Natomiast Ryby są wszędzie tam, gdzie wymagana jest subtelność, wrażliwość, wyczucie szóstym zmysłem. Ryba to samotnik płynący własną drogą życia, więc najczęściej widuje się ją w zawodach związanych ze sztuką lub medycyną. Ryba nie ma ambicji władczych, nie czuje się pewnie wobec podwładnych. Nie bywa zazdrosna, zawiśnięta, złośliwa lub dokuczliwa. Doskonale zna swoje możliwości i braki. W głębi duszy Ryba jest mistykiem, interesują ją zagadnienia nieprzeciętne, nie mające prawa być. Ryba angażuje się uczuciowo we wszystko, co robi.

Choć jest miłym, łagodnym i dobrym człowiekiem, z dyrektorem Rybą współpracuje się trudno. Szef z tego znaku bywa nieobliczalny, więc podwładni nie wiedzą, jak z nim postępować, gorzej — nie wie tego i on sam, gdyż nie ma konsekwentnego planu, idzie na wyzucie. Jedyną radą jaką można dać podwładnym jest, by byli oni — na zasadzie wzajemności — porządnymi ludźmi, postępującymi uczciwie. Na wdzięczność Ryby zasługują też ci, którzy pomogą jej rozwiązać plany organizacyjne, w których dyrektor łatwo się gubi.

PODWŁADNY RYBA

Ryba do pracy jest chętna, a ludziom życzliwa, lecz wymaga specjalnego traktowania i musi mieć przyjemne warunki pracy. Łatwo się zniechęca, gdy ktoś jej wyrządzi świństwo. Nim się obejrzymy, odpłynie do innego przedsiębiorstwa. Życzliwość, przełożony, uprzejmość i grzeczność są dla niej ważniejsze niż pieniądze, choć i ich wartość Ryba docenia. Ryba nie ma zapędów i ambicji dyrektorskich. Nie znosi też wariackiego tempa, poganiania. Ryba miewa czasem dziwaczne pomysły. Jednak później (tak się zazwyczaj składa) okazuje się, że Ryba miała rację. Nie lubi intryg, przewrotów pałacowych, przeprowadzania swych postulatów przy pomocy lokci. Do Ryb można mieć zaufanie. Oczywiście, wyjątki zdarzają się wszędzie, lecz u Ryb widuje się je rzadko.

DLA SZEFÓW I PODWŁADNYCH

Urodzeni w znaku Ryb: Mikołaj Kopernik, Jarosław Iwaszkiewicz, Danuta Szaflarska, Aleksiej Kosygin, Jerzy Waszyngton, Fryderyk Chopin, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Karol May, Witold Rowicki, Liz Taylor, Daniel Olbrychski, Roman Kłosowski, Ernest Bryll, Róża Luksemburg, Michał Anioł, Maurice Ravel, Stanisław Kania, Amerigo Vespucci, Jurij Gagarin, Edward Rydz-Smigły, Albert Einstein, Józef Bern, Gabriel Narutowicz, Michelle Morgan, Emil Karewicz, Henryk Ibsen, Ludwik Solski, Łajos Kossuth.



LESZEK SZUMAN ŻYCIE PO ŚMIERCI

sprawozdanie zmarłego,
którego przywrócono
do życia

— 3 —

Gdy zebrani w jego pracowni goście usiedli, lekarz zastemnił pokój, a okno zasłonił tkaniną nasyconą roztworem siarczku wapnia (CaS). Następnie wprowadził swoją znajomą w stan snu i polecił jej, aby wysłała swe ciało astralne do swego mieszkania, gdzie czekała druga połowa gości, także wpatrzona w tkaninę nasyconą siarczkiem wapnia i zawieszona w oknie, tak jak to zrobiono w pracowni.

dychał. Doktorowi Huxleyowi wydawało się, że chory bardzo cierpi, lecz lekarz-jasnowidz zaznaczył od razu, że umierający niczego nie czuje. Owe objawy spowodowane są odrywaniem się ciała astralnego, które dąży do wyzwolenia się z ziemskiej powłoki.

Lekarz-jasnowidz obserwował, jak życiodajny fluid, który za życia przenika wszystkie komórki ludzkiego ciała, stopniowo odpływa do mózgu, aby w końcu i to miejsce opuścić.

To ustępowanie ciała astralnego spowodowało, iż ktoś o kwalifikacjach jasnowidczych mógł zaobserwować dookoła głowy umierającego aureolę świecącą tak, jakby głowa nieco promieniowała.

Stopniowo ustępujący z ciała fizycznego astral nabierał kształtu głowy ludzkiej oddalającej się od konającego. Za głową wychodziła długa, bezkształtna postać. Ciało astralne poruszało się rytmicznie, jakby poruszane pod wpływem powiewu wiatru.

Pod koniec ten eteryczny jakby welon zaczął przybierać ludzkie kształty podobne do ciała konającego. Nagle ciało astralne stanęło pionowo nad opuszczonym ciałem fizycznym. Nim jednak nastąpiło ostateczne odczepienie się, jasnowidz spostrzegł, że z ciała astralnego do ciała zmarłego przeniknął jakby prąd.

W tej samej chwili doktor Huxley spojrzął na zawieszony w oknie ekran nasycony siarczkiem wapnia. Ekran, ku zdziwieniu lekarza, zabłysnął siedem razy, raz po raz, pozwalając dostrzec siedem postaci. To dziwne zjawisko wytłumaczył dok-

torowi Huxleyowi lekarz-jasnowidz: zjawy przechodząc przez ekran może zobaczyć każdy człowiek. Nie są do tego potrzebne zdolności jasnowidcze.

Z chwilą, gdy ciało astralne konającego odczepiło się od ciała ziemskiego, gdy łącząca je taśma została definitywnie zerwana, w pokoju zjawili się kilka innych ciał astralnych. Może to byli krewni lub znajomi z zaświatów, którzy „powitali” nowego przybyłego wprowadzając go na tamten świat. To objaśnienie harmonizowało w pełni ze spostrzeżeniami doktora Huxleya. Dusza zmarłego, jak to twierdzili i twierdzą nadal spirytyści wszystkich czasów i krajów, została zabrana przez dawniej zmarłych towarzyszy.

Tak więc choćby człowiek podczas swej doczesnej wędrówki był całkowicie samotny i opuszczony, przestaje nim być, gdy zbliża się czas jego zgonu. Dusza jakiejś ukochanej lub oplakiwanej małżonki weźmie umęczonego wędrowca pod swe opiekuńcze skrzydła i zaprowadzi ku światłu tamtego świata, skąd nikt nie chciałby powrócić do mętnego trzęsawiska, w którym przebywamy.

Na podstawie różnych obserwacji dr Huxley wyciągnął wniosek, że w obliczu śmierci ludzie w ostatniej chwili potrafią dostrzec rzeczy, których dawniej nigdy nie zauważali.

(cdn)

wiedza tajemna

organ sumoisy pod redakcją
Jouanny Sabillo i Andrzeja Wesolowskiego

wiedza tajemna